

# Cena za życie bez granic



Wojciech Dombrowski  
Landemaschine.eu

Projekt okładki:  
Aleksandra Pertyńska

ISBN e-book 978 – 83 – 956584 – 3 - 3

ISBN druk 978 - 83 - 956584 - 4 - 0

ISBN Kolekcji Landemaschine 978 – 83 – 956584 – 0 - 2



Kolekcja Landemaschine

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody  
wydawcy zabronione.

Wydanie I 2020

Asiu i Fabian, dziękuję za pracę i serce; bez Was ta książka  
nigdy by nie powstała.

13.12.2018 r.

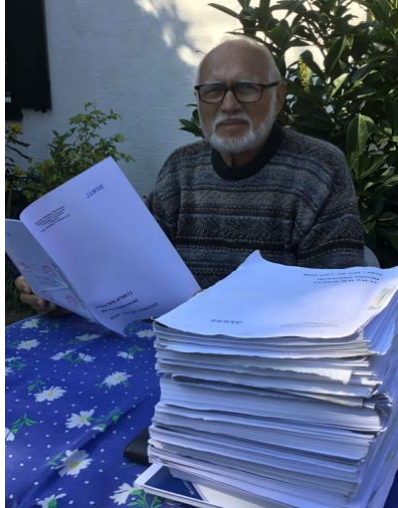
**CENA ZA ŻYCIE BEZ GRANIC**

## Część I

### Nie ma zwykłych chwil

Postanowiłem opisać osiemdziesiąt lat mojego życia. Nie było one łatwe, ale niezwykle ciekawe. To historia chłopca, któremu odebrano bezpieczne dzieciństwo. Tragedia studenta, któremu zamknięto okno na świat. Życie niepokornego pedagoga w realiach PRL. Los pilota instruktora, któremu grożono odebraniem licencji. Wreszcie opowieść Polaka, którego zmuszono do opuszczenia Ojczyzny i do walki o odzyskanie skrzydeł. Wgląd do akt IPN-u uświadomił mi niemal doskonałą kontrolę organów bezpieczeństwa nad polakami będącymi w kręgu ich zainteresowań. Nawet najdrobniejsze szczegóły z mojego włóczykijowskiego życia mogę odszukać w otrzymanych kopiach tych dokumentów.

To życie na obczyźnie i działalność społeczna, zwłaszcza dla Polaków uciekinierów z Polski. Praca pilota na obczyźnie nie tylko do emerytury. Opis przeżytych niezwykle i ekstremalnie trudnych lotów samolotowych i śmigłowcowych. A przede wszystkim upowszechnianie łatwej i bezpiecznej metody lądowania wykluczającej niebezpieczeństwo wypadków podczas lądowania.



*Zdjęcie autora z dokumentami IPN*

Pozwólcie, że rozpocznę opowieść:

### **Związki krwi**

Moja mama Maria, Łucja Dąbrowska, z domu Biskup, była najstarszą córką Ludwika, z domu Nowak i Kazimierza Biskupa. Urodziła się w 1911 roku w Margoninie (województwo wielkopolskie, powiat chodzieski). Miała o dwa lata młodszego brata - Edmunda Juliana i młodszą o 6 lat siostrę – Aleksandrę. W 1934 r. w Tucholi poślubiła Fabiana Dąbrowskiego, który pochodził z wielodzietnej rodziny ziemiańskiej z Zembrza, koło Brodnicy. Rodzice Fabiana to Ignacy Dąbrowski i Anna, z domu Teodziecka. Dziadek Ignacy urodził się w posiadłości Sugajno i miał siedmiu braci. Jego dziadek Henryk był właścicielem dużego majątku Pusta Dąbrówka koło Torunia i prawdopodobnie łączyło go pokrewieństwo z generałem Janem Henrykiem Dąbrowskim, twórcą Legionów Polskich we Włoszech. Niestety, ale swoim lekkim towarzyskim życiem zubożył rodzinę i przeprowadził się na tzw resztówkę, do Sugajna.

Udokumentowana historia rodziny Dąbrowskich herbu Panna (panna z dwoma złotymi trąbami na czerwonym tle) sięga początku XV wieku. Protoplasta rodu rycerz Smolanga, osiadł na Pomorzu Gdańskim w miejscowości Dąbrówka, od której ród wziął swoją nazwę. Jan Mikołaj i Hektor Dąbrowscy piastowali urząd dygnitarza i podpisywali się „Dąbrówka” w Prusach Królewskich (obecnie osada kaszubska położona w województwie pomorskim). Historia podaje, że do bitnej i walecznej rodziny Dąbrowskich należało kilku wojewodów, kasztelanów, starostów, opatów, wodzów i generałów. Był także jezuita (spowiednik hetmana Stefana Czarnieckiego) i kawaler maltański. A oto wybrani przedstawiciele:

- Jan X Stanisław – młody, dzielny rycerz, uczestnik bitwy pod Wiedniem (1683 r.), o którym wspomina król Jan III Sobieski;
- Jan XI Michał – generał, kawaler maltański, walczył u boku króla Stanisława Leszczyńskiego;
- Jan XII Henryk – generał, twórca legionów we Włoszech.\*

(\*przypis *Jan Pachowski, Generał Jan Henryk Dąbrowski 1755-1818, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1981.*)

Mój tata miał czterech braci: Bolesława, Ignacego, Józefa i Wiktora a także dwie siostry - Weronikę i Leokadię. Fabian, jako jedyny z rodzeństwa, ukończył szkoły i został nauczycielem. Rodzina Dąbrowskich była bardzo muzykalna. Tata grał na skrzypcach, wiolonczeli, gitarze, te utrwalone na zdjęciach. Nie wiem, jak się poznali moi rodzice. W starym albumie zachowało się jedynie zdjęcie przedstawiające grupę młodzieży w strojach ludowych.



*Czarnocin 27 czerwca 1932*

Starsza dama siedzi obok mojej mamy, a tata stoi w ostatnim rzędzie, razem z młodym mężczyzną. Napis - 27 czerwca 1932 r., Czarnocin. Wynika z niego, że w 1932 roku rodzice już się znali. Po ślubie zamieszkali w szkole w Sulęcinnie. Tam w maju 1935 r. urodziła się moja starsza siostra Maria Bożena, nazywana przez rodzinę Rysią. W czasie okupacji wszyscy wołali na nią Lilu. Po krótkim czasie rodzice przenieśli się do wiejskiej szkoły w Górze, koło Kościerzyny, gdzie w następnym roku przyszedłem na świat. Dziadek Kazimierz Biskup zdecydował, że otrzymam imię Dionizos, czyli Dionizy. Mama wołała, bym miał na imię Wojciech. W rezultacie otrzymałem dwa imiona, Dionizy Wojciech, ale i tak w dzieciństwie wszyscy wołali na mnie Bubi, a później Dychu.



*Portret rodziców tuż przed wybuchem II wojny*

Wkrótce po moich narodzinach tata, zafascynowany przyrodą Wenezueli, kupił bilety dla całej rodziny, na pokonanie Atlantyku. Wojna jednak przekreśliła te plany i gdy tylko nadeszły wieści o możliwości jej wybuchu, ojciec został powołany do kawalerii w Grudziądzu. Mama razem z nami przeprowadziła się do dziadków Biskupów, którzy mieszkali w Tucholi razem z pradziadkiem Piotrem. Mój pradziadek urodził się w 1848 roku. W roku 1870, jako młody mężczyzna, brał udział w wojnie francusko-pruskiej. Służył w armii pruskiej i bardzo dobrze wspominał dwa lata swojego pobytu w okupowanej Francji.



*Mój Ojciec (pierwszy od lewej) z Przyjacielem*

Tata, jako oficer młodszy, został dowódcą plutonu konnego. W



kampanii wrześniowej był w 4 grupie ppłk. Jerzego Staniszewskiego. Brał udział w bitwie pod Gródkiem, niedaleko Świecia. Wieść o zaginięciu w zawierusze wojennej została wyjaśniona z chwilą otrzymania pierwszego listu od Ojca, który 12. września 1939 roku dostał się do niewoli i przebywał w Oflagu XVIII B w Woldenbergu.



*Ojciec Fabjan Dąbrowski w mundurze 1939r.*

**Dzieciństwo na polskich ziemiach wcielonych do III Rzeszy**

Mieszkaliśmy w małym miasteczku. Niemcy i Polacy w sąsiedzkiej zgodzie. Sąsiadów pochodzenia niemieckiego traktowaliśmy jak nasze ciocie i wujków. Kiedy do Tucholi 2 września 1939 roku wkroczyli niemieccy żołnierze, nagle coś się zmieniło. Wielu sąsiadów przestało nas zauważać. Tylko ciocia Szulc, która mieszkała po drugiej strony ulicy, była jak zawsze miła. Kiedy do niej przychodziłem, zawsze częstowała mnie cukierkami. Już nie mieszkamy w Polsce, tylko w Westpreusen i język niemiecki stał się obowiązujący! Nie bardzo mogłem zrozumieć, dlaczego nagle nie można było rozmawiać na ulicy w naszym ojczystym języku. Polacy, którzy mieszkali na tych terenach, mieli dziwny status - byli niby Niemcami, ale gorszej kategorii. To nie przeszkadzało Wehrmachtowi wcielać młodych Polaków do swojego wojska. W ten sposób młodszy brat tatusia, Józef, pod koniec wojny znalazł się w wojsku niemieckim i służył gdzieś niedaleko Fuldy a jako cieśla naprawiał wojskowe tabory. Z kolei szwagier wujka Józefa, czyli brat jego żony Weroniki, z domu Drwęckiej, został wysłany do niewolniczej pracy na roli u niemieckiego bauera, niedaleko Kassel. Podobno wujek Józef, gdy tylko dostawał przepustkę, w pełnym niemieckim umundurowaniu odwiedzał swojego szwagra, polskiego niewolnika. Jeden brat Józef Dąbrowski został wcielony do Wehrmachtu, a drugi, Fabian Dąbrowski, był polskim oficerem, jeńcem w niemieckim obozie Woldenberg. Tak przeplatały się rodzinne losy Polaków zamieszkujących Prusy Zachodnie.



*Nasza Mama ja i Rysia*

Czasami babcia Ludwika zabierała mnie i Rysię do Grudziądza, do swojej krewnej Heleny Kaube, właścicielki kina. Z butelkami pełnymi pysznej lemoniady siadaliśmy w pierwszym rzędzie i czekaliśmy na bajki, a nie nawidzieliśmy kroniki filmowej, które je poprzedzały. Z zachwytem wpatrywaliśmy się w ekran, na którym rozgrywały się dech zapierające bajkowe przygody. Zналиśmy z Rysią wiele piosenek z przeróżnych filmów, więc w domu często organizowaliśmy przedstawienia dla dorosłych. Zakładaliśmy suknie i szlafroki mamusi, a na głowie upinaliśmy turbany zrobione z ręczników. Tańczyliśmy, śpiewaliśmy i odgrywaliśmy scenki z filmów. Czasami z dwóch krzeseł, kija od szczotki i koca budowaliśmy teatr kukielkowy, a zza kocowej kurtyny nasze pacynki przeżywały bajkowe przygody. Cienkimi dziecięcymi głosikami śpiewaliśmy niemieckie piosenki, a wszyscy domownicy bili brawo, by nagrodzić nasze

wysiłki. Pamiętam, jak fałszowałem, wymachując rękami zgiętymi jak marionetka:

.... Hänschen klein gieng allein in die weite Welt hinein  
Stock und Hutt steht ihm gut, ist gar wohlgenut.  
Aber Mutter weinet sehr, hat ja nun kein Hänschen mehr. Si  
mama isch bin da! Tra la la lalala (Henio mały szedł w wielki  
nieznany świat a kij i kapelusz pasował do niego. Ale mama  
płakała bo swojego chłopca nie miała. Zobacz mamusiu już  
jestem! )

Przypadł mi w udziale obowiązek codziennego przynoszenia  
chleba z piekarni. Był duży i bardzo ciężki, a do tego gorący –  
prosto z pieca, a ja miałem 4 lata i byłem mały. Bochenek tak  
pięknie pachniał, że za każdym razem odgryzałem spory  
kawałek i sapiąc z wysiłku, wchodziłem po schodach.  
Mówiłem do siebie: „Aber schwer, aber heiss, aber schmeckt!”  
(ale ciężki, ale gorący, ale smakuje!)

Któregoś razu moje słowa usłyszał ksiądz, proboszcz  
rzymskokatolickiego kościoła pw. Bożego Ciała, który często  
odwiedzał dziadków. Duchowny opowiedział babci, że  
chwaliłem chleb po niemiecku. Dlaczego po niemiecku?

Babcia Ludwika była Polką, lecz całe życie modliła się po  
niemiecku. Liczyła też w tym języku. Urodziła się w dawnym  
zaborze pruskim i musiała chodzić do niemieckiej szkoły.  
Niemiecki był na tych terenach językiem urzędowym.  
Obowiązywał razem z łaciną na mszach w kościele, a i nasi  
sąsiedzi, osadnicy z Niemiec, nie pozwalali nam zapomnieć  
tego języka. Dzieci szybko się uczą i są z natury ciekawe,  
zatem i my płynnie posługiwaliśmy się dwoma językami. Ale  
w domu mówiliśmy tylko po polsku.

Zbliżała się jesień. W sadzie pojawiły się pierwsze jabłka,  
śliwki i gruszki. Któregoś razu dziadek Kazimierz,  
niewątpliwie obdarzony darem czytania w moich myślach,

popatrzył na mnie uważnie i powiedział stanowczym tonem: „Ani mi się waży wejść do tego ogrodu!”. Ale jak nie spróbować tych rozkoszy jesieni? Zapach rozgrzanych słońcem, soczystych owoców bez reszty zawładnął naszymi chłopięcymi zmysłami. Żadna siła nie była w stanie nas powstrzymać.

W kącie za szopą zorganizowaliśmy naradę. Edek, Karol i ja. Rozejrzałem się wokoło. Gdy dziadka nie było na podwórku, niezauważeni przemknęliśmy koło kurnika babci i przez furtkę przeszliśmy do ogrodu. Wspięliśmy się na drewniany płot, a następnie na drzewa po owoce. Och te gruchy! Sok spływał nam po brodzie i plamił koszule i krótkie spodenki lepką, cudowną słodyczą. Ale na złodzieju czapka gore! Byłem pewien, że w oddali usłyszałem czyjeś zbliżające się kroki. - „Chłopaki, ktoś idzie! Chodu! Uciekajmy!” – krzyknąłem i szybko zacząłem zlizywać z drzewa. Serce dudniło mi ze strachu. Kumple nie czekali ani chwili, byli nawet szybsi ode mnie. Dobiegliśmy do płotu. Wspięliśmy się na drewniane sztachety. Edek i Karol zeskoczyli z nich i pędem uciekli przez ogródek i podwórko aż na ulicę. A ja? Oczywiście miałem pecha. W moje krótkie spodenki weszła jedna ze sztachet. W rezultacie zawisłem na płocie w dziwnej pozycji. Nie mogłem uwolnić nogawki i zeskoczyć w przyjazne schronienie babcinego ogródka. Sparaliżował mnie strach. Byłem przekonany, że ogrodnik zaraz nadejdzie. Próbowałem się uwolnić. Czas mijał, lecz... nic złego się nie wydarzyło. Nikt się nie pojawił. Walenie przerażonego serca powoli ucichło. Uspokoilem się. Gdy udało mi się uwolnić, czym prędzej zeskoczyłem i pobiegłem za kumplami. Ja im pokażę! Zostawili mnie, łobuzy jedne!

Edek i Karol, wystraszeni, siedzieli na schodach przy sąsiedniej posesji. - „Och wy, tchórze!!! Ale zwiewaliście!” - drwiłem z nich. - „Ja tylko żartowałem, że ktoś idzie!” - skłamałem, by poprawić swoją i tak widoczną przewagę. - Chłopcy milczeli, ale po wyrazie ich twarzy było widać, że

odetchnęli z ulgą. Do dziś uważam, że gruszki to najsmaczniejsze owoce pod słońcem.

Niespodziewanie w naszym „raju” zaczęli pojawiać się chłopcy mniej więcej w naszym wieku. Byli wnukami ogrodnika. Bez przerwy buszowali w sadzie, więc już nie mogliśmy cichaczem się do niego zakradać. Przyjechali ze swoją mamą aż z Warszawy. Ich dom zbombardowali Niemcy. Ojciec chłopców gdzieś przepadł na wojnie.

W domu zaczęły się pojawiać kartki i listy z pieczętką Oflagu Woldenberg. Od taty. My do niego też pisaliśmy, to znaczy mama pisała, a ja z siostrą Rysią potwierdzaliśmy naszą pamięć i uczucie rysunkami na odwrocie przesyłanych zdjęć.

Czasami przyjeżdżał z Warszawy wujek Edek, młodszy brat mamy, z fotoaparatem „Agfa”. Mama ładnie nas wtedy ubierała. Wychodziliśmy na dwór, a wujek robił zdjęcia. Mama mówiła, że trzeba je wysłać tacie do obozu, aby zobaczył, jak rośniemy. Na kopercie starannie pisała: Fabian Dąbrowski, Oflag Woldenberg, Barak 6a. Potem szliśmy na pocztę, by kupić znaczek i wysłać list. Po pewnym czasie korespondencja od taty przestała przychodzić. Mama była smutna, martwiła się. Gestapo zaczęło się nami interesować.

Pamiętam, że kiedy pewnego dnia listonosz przyniósł urzędowe pismo, babcia, dziadek i mamusia cichym głosem coś między sobą ustalali. Potem mama wzięła mnie i Rysię za ręce i poszliśmy do siedziby Gestapo, które znajdowało się na rynku. Oficer siedzący przy biurku wypytywał o tatusia. Mama, pewnie i spokojnym głosem, odpowiadała, że nic nie wie i że nie widziała męża od początku wojny. Czuliśmy, że była bardzo zdenerwowana. Za mocno ścisnęła nasze rączki. Nie protestowaliśmy. Byliśmy za bardzo wystraszeni.

W pewnym momencie przepytujący mamę oficer zrobił się czerwony jak burak i zaczął krzyczeć, a potem wrzeszczeć.

Zerknąłem na niego przerażony i natychmiast ukryłem twarz w sukni mamy. W domu nigdy nikt na nas nie krzyczał, a tu obcy pan, i to na naszą mamusię! Nie rozumiałem, co się dzieje.

Ale to nie koniec. Od tego czasu Gestapo regularnie wpadało do naszego mieszkania na rewizję. Czegoś, a raczej kogoś, szukali i cały czas wrzeszczeli. Kiedy przed dom nadjeżdżał ich samochód i słychać było walenie butami w drewniane schody, babcia Ludwika kazała nam czym prędzej wskakiwać pod pierzynę naszego pradziadka Piotra Nowaka, czyli jej ojca, który całymi dniami leżał, bo był chory, a nam wciąż powtarzano, że nie wolno go niepokoić.

Kiedy przychodziło Gestapo, leżeliśmy cichutko, ukryci pod grubym kożuchem pierzyny pradziadka. Dorośli niewiele mówili, ale domyśliłem się, że nasz tata uciekł z Oflagu! Dokąd? Gdzie się ukrywał? Nikt tego nie wiedział, i do tej pory nie wiemy.

Minęła zima, wiosna i słońce na dobre zaczęło grzać. Dzieciarnia wyległa na podwórka. Już nie mogliśmy buszować po sadzie, bo tam byli chłopcy z Warszawy. Ci obcy byli może i mili, ale mieli jedną wadę - zajęli nasz teren. Ogrodzenie sadu stało się prawdziwą granicą „dwóch mocarstw”, a my planowaliśmy wyprawy po łupy. Niestety, nasze najazdy były odpierane gradem kamieni, ogryzków czy też zgniłek, a tych w sadzie nie brakowało. Raz my napadaliśmy na chłopaków z sadu, innym razem oni - na nas. Z Edkiem i Krzyskiem zbudowaliśmy twierdzę, z której obserwowaliśmy sytuację i broniliśmy naszego terenu. Za szopą, znajdował się skład materiałów budowlanych i opałowych, gdzie piętrzyła się wysoka wieża z równo poukładanych, metrowych, drewnianych bali. Sterta była ogromnie wysoka. Roztaczał się z niej widok na całą okolicę. Tam powstało nasze “Orle Gniazdo” (tak nazwaliśmy twierdzę). Było niedostępne i niewidoczne dla wrogów. Tak długo przekładaliśmy drewniane

bale i znosiliśmy różne skarby, aż zbudowaliśmy warownię nie do zdobycia, z całkiem sporym zasobem amunicji, czyli kamieni, patyków i szyszek. Nieprzyjaciel uważnie nas śledził. Czuliśmy, że zbliża się ten najważniejszy dzień.

W niedzielę, zaraz po mszy (wszyscy byliśmy ministrantami), szybko wymknęliśmy się z zakrystii i pobiegliśmy do naszej twierdzy. Ciepłe, leniwe przedpołudnie niesło z otwartych okien zapachy gotujących się, tych lepszych, niedzielnych obiadów. U nas rosół i pieczona kura. Miła zapowiedź sytości. Dzień wcześniej, na prośbę babci, dziadek Kazimierz uszczuplił gdaczące stadko z kurnika, a wieczorem widziałem, jak mama skubała sparzonego wrzątkiem kurczaka.

Moje rozmyślenia przerwał nieoczekiwany ruch na pozycjach wroga. Ukryci zobaczyliśmy, jak „ogrodnicy” przeskakiwali przez płot. Z kieszeniami wypchanymi „amunicją” cicho skradali się w naszym kierunku. Podeszli całkiem blisko. - „Ognia!!!” - dałem rozkaz i zaczęliśmy ich bombardować, a oni nie byli nam dłużni. Kamienie fruwały gęsto, aż za gęsto! W krótkim czasie „amunicja” się wyczerpała i nie mieliśmy już czym się bronić. Na szczęście napastnicy również. - „Zawieszenie broni!” - krzyknąłem do żołnierzy z obu stron, na co wszyscy potakująco kiwnęli głowami. Zaczęliśmy się wycofywać. Gdy tylko mignęły nam małe sylwetki przeskakujące przez płot, wysoko pod dachem uchyliło się okno naszej kuchni. - „Dychu, na obiad!” - zawołała mama. Poczulem głód. Najwyższy czas się rozejść.

Opuściliśmy twierdzę i powoli szliśmy przez podwórko. Nagle poczułem potworne uderzenie w tył głowy. To jeden z wrogów ukrył się w krzakach i zdradliwie rzucił we mnie kamieniem. Krzyknąłem w niebogłosey i dotknąłem ręką głowy. Popatrzyłem na swoją czerwoną od krwi rękę. Pamiętam jedynie zdziwienie i strach na twarzach moich kumpli oraz to, że ocknąłem się na pustym podwórku. Po kolegach nie było



śladu. Pewnie uciekli wystraszeni widokiem krwi i tym, że upadłem jak nieżywy. Z krwawiącą głową wdrapałem się po schodach do domu. Tam zobaczyłem przerażone, troskliwe oczy mamy i ręce bandażujące moją głowę. Porządnie oberwałem a do dzisiaj pozostał ślad krzywo zrosniętej czaszki.

Po tym zdarzeniu dziadek Kazimierz wydał nam całkowity zakaz przebywania na placu składu budowlanego. Nasza twierdza zniknęła wraz z wywiezionymi gdzieś drewnianymi metrówkami. Nie było innego wyjścia. Z chłopakami z sąsiedztwa musieliśmy się dogadać.

## **Mały spadochroniarz**

Kiedy i w jakim momencie zrodziła się moja miłość do latania? Nie potrafię dokładnie określić. Pamiętam dużo starszego ode mnie kolegę, który w komórce naszego domu w Tucholi, przy ulicy Świeckiej, konstruował modele samolotów gumówek i szybowców. Miałem wtedy około sześciu lat.

Dzieci jak to dzieci - nie przejmowaliśmy się wojną. Z początku wydawała nam się ciekawa. Pewnego razu z wielkim przejęciem oglądałem powietrzny pojedynek samolotów. Dorośli siedzieli w piwnicy, trwał nalot. Gdy usłyszałem warkot maszyn, nic nie mogło mnie powstrzymać. Musiałem wyjść i je zobaczyć. Spoglądałem z dachu komórki na podwórku, jak jeden samolot gonił drugi. Wykonywały niesamowite, podniebne ewolucje. Słychać było trzaski i terkotanie wystrzałów. Przypominały ptaszyska kłócące się w powietrzu. Było pięknie i groźnie! W pewnym momencie zobaczyłem, jak jeden samolot zamienił się w kulę ognia. Po chwili na błękitnym niebie pojawił się biały parasol, niczym odwrócony porcelanowy kieliszek do lekarstw pradziadka Piotra, a pod nim zawisł czarny punkcik. To pilot. Wzrokiem

śledziłem jego spokojne, majestatyczne i ciche opadanie, dopóki się nie skrył za drzewami zasłaniającymi horyzont.

Nasze zabawy przesiąknięte były rzeczywistością wojenną. Nie mogłem zapomnieć tej powietrznej walki i ratującego się pilota. A jak by spróbować i tak cicho jak ten pilot powoli opadać na ziemię. Myśl ta nie dawała mi spokoju i jak cień chodziła za mną.

W komórce znalazłem nowy worek do kartofli. Był ogromny i wprost się prosił, by zrobić z niego prawdziwy spadochron. Wszystko dokładnie obmyśliłem. Wiedziałem w najdrobniejszych szczegółach, co mam robić. Najpierw wyjąłem z szafy pradziadka skórzany pas. W przepastnej szufladzie babci znalazłem sznur do bielizny. Wszystko głęboko schowałem i czekałem na odpowiedni moment. Najlepszych kumpli mianowałem asystentami. Uprzedziłem ich, że będą mi pomagać w przygotowaniach do prawdziwego skoku ze spadochronem.

Nadszedł ten dzień. Po niebie powoli przesuwały się chmury. Na ulicy było pusto i leniwie. W kieszeni krótkich spodenek przyjemnie ciążył mój prawdziwy skarb - składany kozik. Niczym tornado przewinałem się przez kuchnię i włożyłem do kieszeni cztery spore kartofle. Wyniosłem swoje skarby na podwórko, za szopę, gdzie zacząłem konstruować swój pierwszy, najwspanialszy, wyśniony spadochron. Lada chwila mieli się zjawić koledzy, więc z zapalem zabrałem się do pracy. Dwukrotnie owinąłem się pasem wokół talii. W cztery rogi worka włożyłem po jednym kartoflu i związałem każdy róg jednym z czterech sznurków. Kartofle miały zapobiec wysunięciu się rogów worka. Wolne końce sznurków przywiązałem w równych odstępach do opasującego mnie skózanego pasa. Byłem gotowy do skoku i bardzo nim przejęty. W końcu przybiegli Edek i Karol. Spojrzeli na mnie z nieukrywany podziwem. Jedyne w swoim rodzaju,

niezwykły spadochron leżał właśnie za mną. Duma mnie rozpiekała. Czułem się ważny, ba, najważniejszy. - „Chłopaki! A teraz macie ostrożnie chwycić spadochron i nieść za mną tak, by nie dotykał ziemi.- a po chwili powiedziałem-Idziemy!”.

Ruszyłem przed siebie, a oni za mną, przepełnieni powagą chwili. Minęliśmy dom Edka i dotarliśmy do kościoła ewangelickiego. Neogotycka, wysoka, szpiczasta wieża z dużym zegarem patrzyła w cztery strony świata podwójnymi, ostro zwieńczonymi oknami. Była bardzo wysoka i wystawała zza kamieniczek niczym grożący niebu palec. Nasz korowód powoli zbliżył się do kościoła. Weszliśmy przez boczne drzwi. Stukając blaszkami butów, przeszliśmy przez nawę główną. Echo zdradzało nasze kroki. Powoli podeszliśmy do drzwi prowadzących na chór i wieżę, do dzwonów. Wydawało nam się, że w kościele nie było żywego ducha. Wdrapaliśmy się po wąskich, krętych i potwornie skrzypiących, drewnianych schodach. Z góry dochodziło tylko stłumione gruchanie gołębi. Byliśmy już bardzo, bardzo wysoko, a tyle jeszcze stopni pozostało do pokonania. Edek chciał odpocząć. - „Nie ma mowy! Ale z was mięczaki!” – powiedziałem poważnie.

Chociaż moi asystenci sapali ze zmęczenia, nie mieli odwagi zaprotestować. Wytrwale szli za mną na górę. W końcu dotarliśmy na szczyt. Nad nami wisiał ogromny dzwon. Podwójne gotyckie wykusze wieży zabezpieczone były poziomymi rurami, wmurowanymi na wysokości pasa dorosłego człowieka.- „Uf, nareszcie!” – powiedziałem zmęczony.- „A teraz ostrożnie! Tu jest bardzo niebezpiecznie. Musicie się odsunąć” – a sam stanąłem na samym brzegu wykusza. Na wysokości czoła miałem barierkę. „Muszę się tylko nieznacznie schylić, aby nie nabić sobie guza, a potem skoczyć” - pomyślałem.

- „Edek, weź spadochron i równo rozłóż go za mną!” – rozkazałem.

Kumple patrzyli na mnie z podziwem. Byłem bezgranicznie przekonany, że mój spadochron niczym nie różni się od tego, który widziałem tego pamiętnego dnia po walce dwóch samolotów, a sam mój skok i lot ku ziemi będzie równie majestatycznie powolny delikatny i na pewno cudowny i że będzie zarazem bohaterskim wyczynem!

Przejęci chwilą, która miała nadejść, nie usłyszeliśmy dźwięku skrzypiących schodów i głośnych kroków wchodzącego po nich kościelnego. Dopiero nieoczekiwany, przeraźliwy i nawałnicą naładowany głos, zmroził nasze ruchy i zdmuchnął gorączkę skoku z naszych chłopięcych głów.

– „O mój Ty Panie! A co wy tu robicie?! Wynosić mi się stąd! Natychmiast! Jak jeszcze raz was tu zobaczę, to tak wam tyłki przetrzepię, że popamiętacie mnie do końca życia!”.

Moi asystenci pierzchli niczym spłoszone wróble. Usłyszałem tylko łomoty ich butów na drewnianych schodach. Cóż było robić? Z gorzkim smakiem rozczarowania, który ścisnął mi gardło, przyklęknąłem na zimnej płycie podłogi by zwinąć mój wspaniały spadochron. Następnie ciężkim krokiem ruszyłem po schodach w dół, poganiany upokarzającymi szturchańcami rozgniewanego kościelnego. – „Co ci chłopcy sobie wymyślili?!” - opowiadał kościelny mojemu dziadkowi.

„Dzięki ci Boże, że zdążyłem na czas, że usłyszałem skrzypienie tych przeklętych schodów. Choć od dziś będą one raczej błogosławione” – zakończył i odetchnął z ulgą.

Wielka „burza” rozpełtała się w domu po udaremnionym skoku spadochronowym. Nie dostałem lania. Gderanie babci Ludwiki i smutne oczy mamy były wystarczająco trudną karą do zniesienia!

## **Z tańczącym tornistrem**

W 1943r., ja siedmiolatek, musiałem pójść do szkoły. W Tucholi były dwie - niemiecka i polska. Rysię rok wcześniej posłano do szkoły niemieckiej. Bardzo dobrze mówiła w tym języku. Niestety łatwo ulegała obcym wpływom. Pamiętam, że któregoś razu poszła do policjanta Trippana, który mieszkał na I piętrze naszego domu i doniosła na Polaków, którzy rozmawiali po polsku na klatce schodowej. Przecież to było zabronione! Tak uczyli w szkole, więc nie mieliśmy jej tego za złe.

Szkoła Rysi znajdowała się w pobliżu naszego domu, niedaleko kościoła ewangelickiego (tego, z którego wieży chciałem skoczyć na spadochronie). Ja musiałem biec do szkoły przez całe miasto. Na plecach z dumą nosiłem tornister. Był nowiutki, z lakierowanego kartonu, zapinany na sprzączki. W środku miałem łupkową tabliczkę służącą do pisania, oprawioną w drewnianą ramkę. Pośrodku niej wywiercona była dziurka, do której przywiązano dwa sznurki. Na końcu jednego z nich wisiała sucha, a na drugim - mokra gąbka do ścierania. W szkole dostawaliśmy kawałek kredy, którą pilnie mazaliśmy na płytce. Po lekcjach zawsze biegłem do domu i nie chciałem aby gąbki pobrudziły mi tornister i dlatego wisiały z tornistra po obu stronach kopiując mój bieg. Bardzo mi się w szkole podobało. Niestety, po pewnym czasie ją zamknięto.

W naszym domu, na parterze od strony podwórka, chłopcy z Hitlerjugend dostali dwie izby i tam urządzili swoje miejsce spotkań. Nienawidziliśmy ich. Patrzyli na nas takim wzrokiem, jakim nikt nie chciałby, aby na niego patrzono. Bardzo nam się to nie podobało! Chcieliśmy z nimi walczyć! Pewnego dnia zauważyliśmy u nich uchylone okno. Było ciemno, więc w lokalu nikogo nie było. Pod samym oknem znajdował się daszek nad wejściem do piwnicy. Wspiąłem się na niego, a chłopcy stali i pilnowali, by nikt nas nie zauważył. Tuż przy oknie, na biurku, w zasięgu mojej ręki, leżały krążki taśmy papierowej z klejem. Sięgnąłem po jeden z nich. Potem szybko

zeskoczyłem z daszku i uciekliśmy nad jezioro Głęboczek. Tam wrzuciliśmy krążek do wody. Zniszczyliśmy własność Hitlerjugend! Stracha mieliśmy ogromnego, ale potem czuliśmy się niczym bohaterowie.

Najbardziej troszczył się o nas dziadek Kazimierz i starał się oddalić wszystkie okropności wojny, dlatego też dzieciństwo nasze trwało nadal. Ostatnio częściej mówił - Na wschodzie wcale nie jest tak dobrze jak Niemcy ogłaszają w swoich gazetach. Coś z tą błyskawiczną wojną im nie wychodzi.

Tymczasem w Tucholi zaczęli się pojawiać niemieccy żołnierze. Przyjeżdżali tu na rekonwalescencję po pobycie w szpitalu. Lasy, piękna okolica i spokój dodawały im sił. Często widywaliśmy ich na spacerze z pielęgniarkami z Niemieckiej Pomocniczej Służby Kobiet. Gdy bawiliśmy się w Indian, spacerujące pary były obiektem naszych podchodów.

Któregoś ciepłego popołudnia w pobliżu jeziora zauważyliśmy parę idącą w naszym kierunku. Szybko przeczłgaliśmy się za wzgórek i ukryci w trawie, z wypiekami na twarzy, patrzyliśmy, co się wydarzy. Zakochani usiedli za krzakami. Po chwili żołnierz zaczął całować swoją wybrankę i szybko zdejmować z niej ubranie. Nagle zniknęli w wysokiej trawie. Po kilku minutach wstali, ubrali się, otrzepali i śmiejąc się, szybko odeszli w kierunku miasta. „Chyba to, co robili, było przyjemne – pomyślałem. Byliśmy trochę za daleko od nich, więc niewiele udało nam się podejrzeć, ale i tak to wydarzenie poruszyło moją wyobraźnię. Postanowiłem sprawdzić, czy to, co robili, rzeczywiście jest takie miłe. Krzysia nie było na podwórku. Pewnie coś spsocił i za karę znowu nie pozwolono mu wyjść z domu. Pobiegliśmy z Edkiem na jego podwórko, do garażu, gdzie stał samochód jego rodziców. Za nami pobiegła Basia, siostra Edka, młodsza od niego o rok. - Ja chcę się z wami bawić! - stanowczo oznajmiła. - Będę szoferem, a wy do tyłu, i już! - zarządził

Edek.

Usiedliśmy z Basią na tylnej kanapie auta a ja już wiedziałem co mamy robić.-Teraz rozbieramy się a ty połóżysz się na kanapie – powiedziałem do Basi a ona popatrzyła zdziwiona na mnie, ale posłusznie zdjęła sukienkę i majteczki. Golutką Basię ułożyłem na kanapie i położyłem się na niej i tak leżeliśmy. Leżeliśmy, leżeliśmy i leżeliśmy, aż Basia zaczęła się wiercić - Zimno mi jest – usłyszałem cichą skargę dziewczynki - Niewygodnie jest mi i jesteś za ciężki. Schodź! – powiedziała w końcu to, na co czekałem. Było mi też zimno i wcale to leżenie nie było takie wesołe.

Przyszło cudowne lato. Na skraju miasteczka, za ogródkami, na podmokłej łące, znajdował się kanał osuszający. Niezwykle miejsce na letnie chlapanie się w wodzie i zabawy. Jak zawsze starałem się zwrócić na siebie uwagę. Moja wrodzona ruchliwość nakazywała wyginać chłopięce ciało w mostki, stójki i przeróżne wygibasy, połączone z chodzeniem na rękach. Zmęczony kąpielą i zabawą kładłem się w trawie i gapilem w niebo, obserwując chmury. Piękne, niepowtarzalne, doskonałe. Zakochałem się w nich, mógłbym obserwować je bez końca. Czasami zabieraliśmy nad rzekę kosze. Brodziliśmy w wodzie w poszukiwaniu raków. Zaglądaliśmy pod kamienie i między korzenie drzew. Z pełnymi koszami zdobyczy wracaliśmy do domu. Wieczorem babcia Ludwika stawiała na piecu wielki garnek z wodą i wrzucała raki do wrzątku, a one piszczwały.

Któregoś dnia przyjechała do nas z Hamburga ciocia Iza Biernatzki ( siostrzenica naszej babci) ze swoimi córeczkami: młodszą Izą i starszą Chrystą. Bardzo lubiłem Izę. Była moją równolatką i, tak jak ja, miała głowę pełną zwariowanych pomysłów. Christa bardziej przypominała Rysię, nic więc dziwnego, że zawsze miały swoje sprawy. Dziewczynki w ogóle nie znały języka polskiego, ale to w niczym nie

przeszkadzało. Swobodnie rozmawialiśmy po niemiecku.

Pewnego słonecznego dnia wziąłem koszyk i namówiłem Izę na wyprawę nad kanał. Uradowana zgodziła się. Szliśmy krętymi uliczkami. W pewnym momencie Iza zaczęła narzekać, że to za daleko i że bolą ja nogi. Nie chciałem zawracać, gdyż kanał był już blisko. Wziąłem więc tę drobniutką dziewczynkę na barana i zaniósłem na łąkę. W chłodnej wodzie szybko przeszło jej zmęczenie. Świetnie się bawiliśmy. Wieczorem do domu przynieśliśmy koszyk pełen raków. Trzeba przyznać, że był ciężki. Gdy kuzynki z ciocią odjechały, zrobiło się cicho i... smutniej.

Pewnego dnia mamusia ogłosiła, że pojedziemy koleją do dziadków, do Zembrza. To policjant Tryppan ostrzegł mamusię, że Niemcy będą wysyłać młode kobiety na przymusowe „roboty do Reichu”. - „Koniecznie wyjedź na kilka tygodni z Tucholi dopóki się nie uspokoi”- dodał.

Musieliśmy pociągiem dojechać do Radoszek. Na stacji, przy wozie zaprzężonym w dwa konie, czekał na nas wujek Bolek. Podróż wozem konnym była niezwykła. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że konie rozumieją, co to znaczy wista i hetta. W końcu dojechaliśmy do ogromnego gospodarstwa rolnego. Zobaczyłem wielką stodołę, stajnię i oborę z krowami i końmi. Za domem roztaczał się wielki sad z pysznymi wiśniami. Bezkarne wdrapywałem się aż na czubki drzew i plułem pestkami dookoła. Byłem szczęśliwy i wolny niczym ptak. Najważniejszy dla nas, dzieci, był fakt, że mieliśmy całe mnóstwo kuzynek i kuzynów, z którymi mogliśmy bawić się do upadłego.

W gospodarstwie, oprócz dziadków, Ignacego Dąbrowskiego i Anny z Teodzieckich, mieszkał jeszcze najstarszy brat tatusia, wujek Bolesław z ciocią Heleną z Sasowskich, oraz ich dzieci - przemiła Terenia, Zosia i Józik. Z niedalekich Radoszek, wozem zaprzężonym w konie, przyjeżdżali do nas Kazik,



Gercia, Marta i Jadzia. Były to dzieci młodszego brata tatusia, wujka Józefa i jego żony, Weroniki z Drwęckich. Mamusia razem z ciociami i wujkami szła na pole i pomagała przy żniwach. My, dzieci, rozszczebiotaną gromadą, biegaliśmy dookoła dorosłych. Mama wzięła drewniane grabie, podniosła je do góry i postawiła koniec trzonka na wskazującym palcu. I tak balansując, tańczyła leciutko i zwinnie. Śmiała się przy tym, a my patrzyliśmy na nią jak zaczarowani. To dopiero była sztuka! Dni w Zembrzu minęły jak z bata strzelił. Znów wróciliśmy do Tucholi.

Z Edkiem zaczęliśmy przesiadywać w komórce u naszego starszego kolegi, który kleił modele latające. Pokazał nam kiedyś, jak można zbudować latawiec. Od dziadka Kazimierza dostałem cieniutkie listewki i papier do pakowania. Z Edkiem namalowaliśmy na nim oczy i śmiejące się usta, a z kolorowych papierków po cukierkach, które podarowała mi ciocia Szulc, zrobiłem długi, kolorowy ogon. Postanowiliśmy wypróbować go na łące przy Głębocku, gdzie zawsze wiało. Latawiec pięknie sunął po niebie. Jego długi ogon furkotał wesoło. Wyrwaliśmy sobie patyk ze sznurkiem, aby posterować tym podniebnym cudem. Szarpaninę przerwał większy podmuch wiatru, który wbił latawiec w koronę usychającej topoli. To koniec zabawy, koniec naszego latawca.

Z chłopakami bawiliśmy się też w rycerzy. Uzbrojeni w miecze zrobione z patyków rozgrywaliśmy bitwy i turnieje. Ale co to za rycerze bez koni? I tak pewnego dnia wpadłem na cudowny pomysł! Obok szopy, w której znajdował się samochód, stały murowane komórki, a w jednej z nich mieszkała koza pani Malinowskiej. Koza może przecież zastąpić wspaniałego rumaka! W sam raz dla nas! W kieszeni zawsze miałem pełno rupieci, więc znalazł się też kawałek splątanego, pełnego węzłów, sznurka. Razem z Edkiem zawiązaliśmy pętlę, by wyprowadzić „konie” na podwórko! Edek wszedł do ciemnej komórki i zarzucił kozie sznurek na szyję. Chwyciliśmy za

jego drugi koniec i ciągnęliśmy go, ciągnęliśmy z całych sił. Koza meczała, charczała, ale była uparta, zaparła się i za nic nie chciała wyjść. Jak to koza! Zmęczaliśmy się okrutnie i źli na to głupie zwierzę, które zepsuło nam zabawę, wróciliśmy do domu. Dopiero następnego dnia okazało się, że nieźle narozrabialiśmy! Gdy pani Malinowska poszła rano nakarmić i wydoić kozę, zastała ją martwą! Biedne zwierzę szarpało się, gdyż chciało się uwolnić, lecz pętla sznurka zaciskała się coraz mocniej i mocniej, aż zakleszczyła się na jednym z węzłów. W rezultacie koza się udusiła. Nie mieliśmy o tym pojęcia. Z dowodem naszego przestępstwa w rękę, czyli z pozwiązywany sznurkiem, pani Malinowska natychmiast poszła do dziadka Kazimierza. Napis Raiffeisen, który na nim widniał, nie pozostawiał cienia wątpliwości, kogo należy ukarać. Dziadek zapłacił za kozę, a my dostaliśmy zakaz wstępu na podwórko Edka.

Zima w Tucholi była niezapomniana. Do domu Edka prowadziła w dół krótka uliczka. Łączyła ulicę Chojnicką z Kościelną. Gdy spadło dużo śniegu, mogłem zjechać na sankach wprost pod dom kolegi. Z lewej strony ulicy stał mały parterowy dom z oknem na poddaszu. Często wyglądały z niego dwie dziewczynki, które zawsze mnie zaczepiały. Stroiły miny, „grały na nosie” i machały rękami.

Był piękny, zimowy dzień. Przy krawężnikach leżały zgarnięte z ulicy hałdy śniegu. Bawiłem się z kolegami. Znajome dziewczyny znów pojawiły się w oknie. Stanęliśmy w pobliżu i zaczęliśmy lepić śnieżki. Wówczas rozzuchwalone panny otworzyły okno i sobie z nas kpiły. Uznaliśmy ich zachowanie za prowokację, więc zaczęliśmy rzucać w nie śnieżkami. Kiedy kilka z nich poleciało wprost do ich pokoju, dziewczynki szybko zamknęły okno. Nie dostrzegłem tego faktu i posłałem śnieżkę prosto w szybę. Rozbite szkło zadzwoniło, a jego kawałki posypały się na śnieg niczym tafle lodu. Mama dziewcząt poszła ze skargą do babci Ludwiki. Była przecież

zima, wojna. Skąd wziąć pieniądze szybko? Wystraszyłem się, że limit moich psot już się wyczerpał, a pyda, która do tej pory ostrzegawczo wisiała na ścianie kredensu, przestanie być już tylko straszakiem przywołującym do porządku. Miała ona pięknie toczoną w drewnie rączkę, do której ozdobnymi ćwiekami przybito skórę pociętą na długie, wąskie paski. Nieraz, po kolejnym moim wybryku, słyszałem zapowiedź dorosłych. „Oj, uważaj Dychu, jak jeszcze raz to zrobisz, zapoznasz się z pydą!”

Bardzo starałem się, by moje psoty były niepowtarzalne I dzięki temu pyda nigdy nie opuściła swojego haczyka.

Babcia wysłuchiwała mamy dziewczynek. Widać było po jej minie, że jest na mnie zła. Burczała coś pod nosem. Dziadek Kazimierz podszedł do niej. Szeptem coś uzgodnili. Po chwili dziadek zdjął ze ściany duży obraz. Wyjął z niego szkło i poszedł do domu poszkodowanej pani, by naprawić zniszczone przeze mnie okno.

Dziadek był cichym, dobrym człowiekiem. Zawsze starał się naprawić szkodę, którą wyrządziłem. Po latach dowiedziałem się o szlachetności i hojności mojego dziadka. Odradzająca się w 1918 roku wolna Polska, wyniszczona przez 126 lat zaborów potrzebowała pomocy. Wielu było Polaków, którzy pospieszyli z pomocą, a wśród nich i mój dziadek, który zebrał wszystkie posiadane kosztowności i oddał odradzającej się Ojczyźnie, bo Ojczyzna i Polacy to jedno.

Babcia Ludwika zaś, uchodziła za domowego herszta. Wszystko musiało być tak, jak zarządziła. Nieraz słyszałem, jak wypominała dziadkowi jego przedwojenne nieudane interesy z handlarzami żydowskimi, na których stracił cały majątek. Długi zmusiły go do sprzedaży hotelu i restauracji w Margoninie. Wtedy dziadkowie przenieśli się do Tucholi. Dziadek zawsze niby pokornie wysłuchiwał babci i zgadzał się z nią, ale i tak robił po swojemu. Jego ulubionym dniem była

niedziela. Wtedy to, po obiedzie, babcia przychodziła do niego z pudełkiem cygar i wręczała mu jedno z nich. Z wielką ceremonią odcinał koniec cygara, zapalał je i delektował się nim, mrucząc z zadowoleniem: „Cały tydzień muszę na to czekać!”



*Hotel Dziadka Kazimierza Biskupa: zdjęcie lata 20-ste  
20.wieku*

Niedziela była też dniem kawy. Mielono ją młynkiem z szufladką, a potem parzono w dzbanku przykrywanym czapą, aby nie wystygła. Kawę pito w stołowym pokoju, przy okrągłym stole, nad którym wisiał piękny żyrandol z gazową lampą. Dzbanek w ubranku stał na drewnianej podstawce z nóżkami. Filiżanki z niedzielnego serwisu czekały ciepłe, przelane gorącą wodą. Nalewano kawę i natychmiast dzbanek ubierano. Następnie babcia majestatycznie podchodziła do wielkiego kredensu i wyciągała z niego coś słodkiego do kawy. Skąd miała prawdziwą kawę? A cygara dziadka? Nie wiem.

Domyślałem się, że od cioci Izy z Hamburga.

Zima to nie tylko bitwy śniegowe i saneczki. Zmrożone stawy wabiły. Och! Jak byłoby wspaniale mieć łyżwy! Marzyłem o nich. Była wojna i nie mogłem liczyć na prezent pod choinkę. Postanowiłem więc sam zrobić piękne drewniane łyżwy. Poprosiłem dziadka, aby dał mi stare pudełko po cygarach. Były w nim wklejone przegródki. Wystarczyło odpowiednio je wyciąć i przymocować sznurkami do butów, a potem ślizgać się po lodzie i wzbudzać zazdrość chłopaków. Tak też zrobiłem. Z wykonanymi przez siebie łyżwami poszedłem nad pokryty lodem staw. Mocno przymocowałem je sznurkiem do butów. Ostrożnie stanąłem na lodzie i...niemal jednocześnie usłyszałem klap, klap!! Butami przydepnąłem złożone deseczki. Nie zrobiłem nawet jednego ślizgu! Moje cudowne i wymarzone łyżwy nie nadawały się już do niczego. Jaki byłem zawiedziony! Do dziś pamiętam gorzki smak tej porażki.

W domu było coraz biedniej. Zwłaszcza zimą doskwierał nam głód. Najbardziej wtedy, gdy szeptem zaczęto mówić, że Rosjanie są już blisko. Nasi niemieccy sąsiedzi dziwnie zgrzecznieli. Razem z mamą chodziliśmy wieczorem za miasto, aby przynieść buraki pastewne, które „wzbogacały” ubogą kuchnię. Kradliśmy je z pola. Mama się tego wstydziła, ale ja cieszyłem się, że okradamy Niemców. Potem babcia gotowała z tych buraków paskudną zupę. Pewnie dlatego do dziś nie znoszę buraków. Wyjątek robię tylko dla tradycyjnego wigilijnego czerwony barszczu i ćwikły z chrzanem.

Minęły kolejne, coraz skromniejsze wojenne święta. Któregoś dnia odszedł od nas pradziadek Piotr. Biedak nie doczekał wyzwolenia. Przeżył 97 lat. Głośno i nerwowo zrobiło się w Tucholi. Niemcy pakowali walizy i toboły na wozy, wózki i rowery. Opuszczali swoje domy i mieszkania. Uciekali do Heimatu (do swojej ojczyzny). Zbliżał się front. Niemcy postanowili bronić Tucholi jak najdłużej. Początkowo

niemieckie oddziały utrzymywały swoje pozycje, ale Rosjanie zaciekle nacierali. Bitwa o Tucholę trwała od 11 do 14 lutego 1945 roku. W końcu rosyjskie jednostki pancerne zdołały przebić się przez linię frontu i 15 lutego Tuchola została zdobyta. Według niemieckich relacji w walkach o Tucholę oddziały 4 Dywizja pancernej zdołały zniszczyć ponad 90 radzieckich czołgów, ale ja aż tylu wraków nie widziałem. Za to te, które znalazłem, okazały się dla nas wymarzonym miejscem zabaw.

Dochodziły odgłosy walki. Wszyscy lokatorzy ukryli się w schronie. Babcia zarządziła, żebyśmy schowali się w samym końcu piwnicy. Tam mama umościła z pierzyn i poduch wygodne legowisko, a następnie przykryła nas kocami. Czekaaliśmy. Nasłuchiwalismy. Po każdym większym wybuchu rozlegały się krzyki. Ktoś się głośno modlił. Na zewnątrz grzmiało i huczało. Bardzo chciałem zobaczyć, co się dzieje. Koczowanie w śmierdzącej, nie tylko kartoflami, piwnicy się przeciągało. Jedynie mama na chwilę wychodziła do naszego mieszkania, aby przynieść coś do jedzenia i picia. Któregoś razu powiedziała, uśmiechając się, że niedługo zobaczymy naszego tatusia.

Nastąpiła cisza. Nagle do schronu wpadli Rosjanie. Brudni i śmierdzący łazili między leżącymi ludźmi i zrywali z nich koce. Szukali dziewcząt. Mężczyźni zachowywali się tak, jakby ich nie było; kurczyli się pod swoimi nakryciami. Starsze kobiety złorzeczyły, a żołdacy wyciągali przeraźliwie piszczące dziewczyny i prowadzili je schodami na górę. Po chwili znów zrobiło się przeraźliwie cicho. Bardzo się baliśmy. Nikt nie ruszał się z miejsca.

### **Spotkanie z nieznanym mi ojcem**

Po schodach zszedł do piwnicy jakiś żołnierz. Odnalazł wzrokiem mamę i skinął głową. Mama kazała nam wstać. Wyszliśmy. Zaprowadziła mnie i Rysię do sąsiedniego domu.

Tam w dużym pokoju z pięknymi meblami, przy owalnym stole siedział oficer w czystym, porządnym mundurze, a obok niego stał pan w ciemnym garniturze. Mama popchnęła nas delikatnie, -„Rysiu i Dychu, to wasz tata!” – powiedziała, wskazując na pana w garniturze.

Krótko trwało nasze przywitanie. Nie pamiętam chwili, w której ojciec podszedł, by nas przytulić.

Po tym zdarzeniu wyprowadziliśmy się od dziadków i zamieszkaliśmy w secesyjnej kamienicy przy ulicy Chopina. Mieszkanie było duże, umeblowane, i znajdowało się na parterze. Tatusia prawie nie widywaliśmy. Gdy został pierwszym po wojnie burmistrzem w Tucholi, stale przychodzili do niego jacyś ludzie. Zazwyczaj siedzieli w gabinecie przy dużym stole. Nie wolno było im przeszkadzać. Biegliśmy więc do dziadków; tam było ciekawiej i weselej. Łaziliśmy po opuszczonych przez Niemców mieszkaniach. Dawne mieszkanie Treppana na pierwszym piętrze zajęli rosyjscy żołnierze frontowi. To oni zdobyli Tucholę. Brudni i zmęczeni leżeli, gdzie popadnie. Pomimo zimna okna balkonu były otwarte. Byłem przy tym jak nagle zaterkotał stary budzik Treppana i obudził śpiącego obok żołnierza. Ten, wyrwany ze snu złapał budzik i wyrzucił go przez balkon, posyłając przy okazji serię z pepeszy. Ale nie tylko budzik wywoływał skrajne poruszenie. Woda lecąca ze ściany dla odróżnienia wzbudzała zachwyty. Zachowanie żołnierzy rosyjskich ukazywało ich prymityw i jednocześnie zachłanność wszystkiego co nowe. Kradli wszystko. Obserwowanie prób jazdy na rowerach wywoływało salwy śmiechu przechodniów i jednocześnie protesty i płacz właścicieli.

Któregoś dnia dziadek Kazimierz opowiedział historię, w którą aż trudno uwierzyć.

-„W mieście spotkałem swojego dobrego znajomego. A

ponieważ nie miałem zegarka, zapytałem go, czy nie wie, która jest godzina. Odpowiedział, że ukrył swój zegarek, i z dumą, delikatnie podniósł nogawkę spodni. W tym momencie przejeżdżał rosyjski żołnierz, który z trudem próbował opanować sztukę jazdy na skradzionym rowerze. Gdy zobaczył zegarek na nodze, pchnął rower na bok i jakimś cudem zeskoczył na ziemię. Podbiegł do mojego znajomego i wrzasnął: Daj mnie nożne czasy! U mienia ich mnogo, ale żaden nożny! (Daj mi zegarek na nogę. Ja mam dużo zegarków ale żaden nie jest na nogę). Po czym wyciągał z kieszeni najróżniejsze zegarki, wpychał je do rąk kolegi i żądał w zamian oddania tego jedyne – nożnego. Zadowolony z kolejnej, na dodatek tak nietypowej, zdobyczy zniknął za zakrętem. Po zakończonej wymianie szczęśliwy właściciel kilkunastu zegarków stwierdził, że właśnie byłem świadkiem najlepszego interesu w jego życiu”.

Po kilku dniach rosyjscy żołnierze odeszli. „Na Berlin” – mówili. Wszyscy odetchnęli z ulgą, ale nie na długo bo nadeszli inni z taborami a później ci z obcą nam polityką.

Dziadek i Babcia ukryli wszystkie cenne przedmioty przed złodziejskimi zakusami żołnierzy co i tak nie uchroniło ich od straty. Pewnego marcowego dnia zapukał do drzwi mieszkania dziadków schludnie wyglądający oficer wojsk radzieckich. Zasalutował i zaskoczonym dziadkom oznajmił, że muszą się wyprowadzić bo wojsko zajmuje mieszkanie „ To tylko tydzień, może dwa i będziecie mogli tu wrócić”- powiedział, a gdy babcia zaczęła pośpiesznie pakować najcenniejsze rzeczy, dodał -„Proszę wszystko zostawić, nic tu nie zginie”.

Akurat Edek, mój kolega, i jego rodzice, państwo Rybiccy, wrócili do swojego domu mieszczącego się na ulicy Świeckiej 73, na przedmieściu Tucholi. Był to dwupiętrowy budynek z poddaszem. Właściciele zajęli piętro, natomiast moim dziadkom zaproponowali, na te kilka dni, lokal na parterze.



Kiedyś tatuś zdenerwował się na mnie za moje wybryki i dał mi zakaz wychodzenia z domu, aż opanuję tabliczkę mnożenia. Pamiętam jego mocny, stanowczy ton. „To nie przelewki” - pomyślałem i karnie usiadłem na parapecie. Wkuwałem tabliczkę. Kiedy poukładałem sobie wszystko w głowie, tata mnie przepytał. Byłem wolny! Nareszcie mogłem wyjść na tył domu. Tam, przy torach kolejowych, stał wrak prawdziwego rosyjskiego czołgu. Edek już na mnie czekał. Weszliśmy do tego niesamowitego pojazdu i z ciekawością rozejrzeliśmy się na wszystkie strony. - „Tu jest prawdziwa amunicja!” - wykrzyknąłem zachwycony odkryciem.

Od tej pory, zaraz po lekcjach, spotykaliśmy się z Edkiem przy naszym wraku. Bawiliśmy się w nim godzinami. Wyciągaliśmy pociski z czołgu i tłukliśmy nimi o kamienie, połóżnialiśmy ich czub, tak aby wyjąć z łuski, długie woreczki z prochem. Przypominał suchy makaron. Nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Wcałe dobrze się nie palił! Jak to się stało, że nasz czołg nie wyleciał razem z nami w powietrze? Dziwię się do tej pory.

Oprócz wraków czołgów na przedmieściach stały także opuszczone zepsute ciężarówki. Zaglądaliśmy we wszystkie zakamarki ich szoferek. Któregoś razu znalazłem przenośną syrenę na korbkę, która szybko mi się znudziła, więc zamieniłem ją na parę wspaniałych wrotek. Miały po cztery kółka na rozsuwanej kluczem szynie. Do butów przymocowywało się je skórzanymi paskami ze sprzączkami. Od tego czasu po całej Tucholi rozlegał się charakterystyczny "turkot". Wszędzie mnie było pełno. Poruszanie się na wrotkach było niesamowicie skomplikowane, zważywszy na fakt, że w całej Tucholi ulice brukowane były kamieniami, a chodnikom daleko było do równości. Nastął jednak dzień, w którym, nasycony jazdą na wrotkach, ujrzałem w ręku jakiegoś chłopaka narty. Były piękne, drewniane i ze sprężynami. Zawsze o takich marzyłem. Chłopak zaproponował wymianę.

Nie zastanawiałem się ani chwili i wymieniłem wrotki za narty, choć do zimy było jeszcze daleko.

Tymczasem do Tucholi przyjechał brat mamy - Edek Biskup. Widocznie nie chciał wracać do zrujnowanej Warszawy. W piętrowym domku na parterze otworzył praktykę lekarską. Zamieszkał na piętrze ze swoją piękną żoną - Barbarą Gilewską, która była tancerką, śpiewaczką i aktorką filmową. Występowała w teatrach rewiowych Warszawy, w latach 1931 – 1934 m.in. w „Qui Pro Quo” i „Morskim Oku”. Znana jest głównie dzięki rolom w filmach „Pieśniarz Warszawy” i „Kochaj tylko mnie”. Występowała u boku takich sław jak Jadwiga Smolarska czy Eugeniusz Bodo.

W salonie u wujostwa królował fortepian, a ciocia Basia żmudnie zaczytywała nuty, aby rozpracować jakąś muzyczną frazę. Czasami wujek Edek siadał do fortepianu i z pamięci jej akompaniował. Potem dokuczał cioci, żartobliwie mówiąc: „No właśnie, tak trzeba grać!”

Ciocia Basia śpiewała cudownie. Bardzo ją lubiłem i dlatego często odwiedzałem wujostwo. Czasami zostawałem u nich na obiad. Kiedyś wujek Edek przyszedł do jadalni prosto z gabinetu lekarskiego. W rękę trzymał metalowe naczynie, tzw. nerkę. Zaaferowany usiadł przy stole, a naczynie postawił koło swojego talerza. Zerknąłem na nie i zobaczyłem, że w nerce leżą dwa ludzkie palce. Wujek nie zwracał na to uwagi. Zjadł obiad i deser, wstał od stołu, zabrał nerkę z jej zawartością i zniknął w swoim gabinecie.

Dziadkowie już nie wrócili do swojego mieszkania na trzecim piętrze. Wojsko radzieckie zwolniło mieszkanie, ale gdy dziadkowie weszli do niego, to tylko zobaczyli ślady po obrazach i meblach na ubrudzonych ścianach. Ukochane, śliczne meble babci, zastawa, bielizna, po prostu wszystko, zostały wywiezione na wschód do domu jakiegoś oficera.

Mijały dni i tygodnie a życie odnajdywało zagubione tory. Coś się jednak zmieniło u nas w domu. Swobodnie mogłem biegać po pokojach. Tatusia nie było, goście przestali do nas przychodzić. Mamusia bardzo się zmieniła i często płakała. Co się stało?

Okazało się, że tata został aresztowany. Stracił stanowisko burmistrza, bo nie mógł dojść do porozumienia z Ruskimi a początkowa „przyjaźń“ ukazała swoje prawdziwe oblicze, Przybywało spraw z którymi Tatuś nie znajdował zrozumienia, na pewno chciał też ująć się za skrzywdzonymi rodzicami żony.

Chcieliśmy go odwiedzić. Poszedłem z mamą do więzienia (obecnie jest to budynek prokuratury). Doszliśmy do wielkiej bramy. Strażnik otworzył nam drzwi, ale nie wpuścił nas na widzenie. Już więcej w Tucholi taty nie zobaczyłem. Pamiętam tylko, jak razem z mamusią chodziliśmy do mieszkania dziadków, tego u rodziców Edka. Tam kazano nam klękać obok krzesel i modlić się wraz z dorosłymi. Powtarzaliśmy „zmiłuj się nad nami”. Trwało to długo i bardzo bolały nas kolana.

Po jakimś czasie zamieszkałem u cioci Basi i wujka Edka, lecz nie było mi smutno. Z Wrocławia przyjechał do nich siostrzeniec cioci. Cieszyłem się, że mam nowego kolegę. Grzegorz okazał się bardzo sympatycznym i mądrym chłopcem. Był kilka lat starszy ode mnie. Pewnego dnia, zaraz po obiedzie, ciocia Basia posadziła nas na kanapie i zaczęła tłumaczyć mi, dlaczego jestem u nich, a nie w domu rodziców. Wyjaśniła, że tatusia wypuścili z więzienia, pod warunkiem że zamieszka na Ziemiach Odzyskanych w małym miasteczku - Kamieniu Pomorskim. Mama z Rysią pojechały tam wraz z tatą i chcą, abym do nich dołączył. -„Samego cię nie puszcę, ale pod opieką Grzegorza, to co innego” – zakończyła monolog.

Po kilku dniach ciocia spakowała nasze rzeczy w kartonowe małe walizki. Oczywiście zabrałem ze sobą narty. Wujek Edek

zawiózł nas swoim czarnym samochodem na dworzec kolejowy i kupił bilety. Na peron podjechała wielka lokomotywa ze sznurem wagonów. Sapała i puszczała dym z komina. Wujek wsadził nas do przedziału. Pod opieką starszego kolegi jechałem do rodziców; do obcego, nieznanego mi Kamienia Pomorskiego.

Długo jechaliśmy. Widzieliśmy tłumy ludzi taszczących dobytek w walizach i tobołach. Zmęczonych, gdzieś spieszących, zaferowanych. Istna wędrówka ludów! Po iluś tam przesiadkach i kupionej na jakimś dworcu, cudownej gorącej herbacie z tańczącym płatkami cytryny, ruszyliśmy w ostatni etap naszej podróży. Wsiadliśmy do pociągu Szczecin - Stargard. W każdym przedziale były drzwi, które otwierano na oścież w czasie postojów. Pasażerowie wychodzili i wchodzili razem ze swoimi niezliczonymi pakunkami. Grzegorz i ja usiedliśmy zaraz przy oknie, więc w nocy ta wędrówka ludzi nie pozwalała nam spać, ale za to w dzień chłoniliśmy krajobrazy przesuwające przed oczyma. Znudziło mi się to siedzenie i chciałem siusiu, więc przejściem po środku wagonu, przedarłem się między stłoczonymi podróżnymi ze swoimi bagażami, na sam koniec wagonu, do ubikacji. Był to ostatni wagon. Gdy tam dotarłem stanąłem przy oknie a właściwie przy zamkniętych drzwiach na samym końcu wagonu. Patrzyłem na mijany krajobraz znaczony śladem szyn po których dopiero co jechaliśmy. Zapomniałem o tym, po co tak zmudnie się przedzierałem. Nagle wjechaliśmy na most nad Odrą. Dziwny most. Niesamowicie długi i tylko szyny łączone podkładami, jak by zawieszony nad leniwie płynącą szarą rzeką. Bardzo bałem się, że ta koronkowa krucha konstrukcja załamie się i wpadniemy do rzeki. Długo jechaliśmy a obrazy z tej podróży zamazują się w mojej pamięci monotonią stukania kół wagonów. Nie pamiętam czym pokonaliśmy dalszą drogę do Kamienia Pomorskiego, którego stylowy dworzec kolejowy stał opuszczony i zdewastowany, a szyny kolejowe łączące

miasteczko ze światem, rozszabrowane i wywiezione przez ruskich. Ostatni odcinek drogi musieliśmy pokonać furmanką, a może ciężarówką? Nie pamiętam!

## **Mój ukochany Kamień Pomorski**

W Kamieniu Pomorskim czekała na nas mamusia z Rysią. Po niedługim marszu opustoszałymi uliczkami dotarliśmy do mieszkania mieszczącego się w jednym z trzech budynków tutejszej szkoły podstawowej, przy obecnej ulicy Jana Długosza. Zajmowaliśmy trzy pokoje z kuchnią na drugim piętrze. Po jakimś czasie ktoś z rodziny przyjechał po Grzegorza i zawiózł go do mamy, która nie wróciła do Warszawy, ale znalazła swoje miejsce we Wrocławiu.

Obok szkoły biegły tory kolejowe. Dalej znajdowały się budynki i urzędnia parowozowni. Torami tymi nigdy nie przejechał żaden pociąg, a zabudowania stały puste. Ciągnęło tam nas chłopaków, tym bardziej, że przy parowozowni było fajne urządzenie służące do załadunku węgla do węglarek parowozów. Przypominało trochę karuzelę i jako karuzelę przez nas było traktowane. Na dole stał rząd wagoników na wąskich torach prowadzących do miejsca skąd załadowywany był węgiel. Aby mieć karuzelę jeden z tych wagoników trzeba było podczepić stalową liną i podnieść. Podnoszenie wagonika było niczym wyciąganie wiadra ze studni z tym, że korby były dwie i dwóch chłopców musiało nimi kręcić do pewnej wysokości, tak by wagonik ze szczęśliwcem mógł zawisnąć na wysokości umożliwiającej kręcenie się jak karuzelą. Potem korby trzeba było zabezpieczyć zapadkami. Z całej siły rozpędzaliśmy wagonik. Każdy z nas czekał na swoją kolej by doznać fascynujących przeżyć na naszej karuzeli. Biegałem na karuzelę do czasu, aż przy podnoszeniu wózka korba wysunęła się, połamana i porozcinała mi palce lewej ręki, które przewiązałem szmatką by krwi nie było widać i aby rodzice

zbyt szybko tego nie zauważyli. Po co mi ich gadanie, zabranianie i ograniczanie swobody. Zagoiło się a jeden paluch do tej pory pozostał krzywy bo tak zadecydowała natura. Rodzice zaabsorbowani dziwnymi powojennymi czasami nic nie zauważyli.

Rysia i ja poszliśmy do pobliskiej szkoły. Mnie umieścili w drugiej klasie, lecz po pewnym czasie grono pedagogiczne postanowiło przenieść mnie do trzeciej. W trzeciej uczyli się dużo starsi ode mnie chłopcy, którzy musieli nadrabiać przerwę w nauce z powodu wojny. Mieli mnie uspokoić i utemperować. I rzeczywiście, w szkole już nie rozrabiałem, za to ci starsi częstowali mnie papierosami. Niepisane było mi jednak wpaść w szpony nałogu. Dym był duszący, piekący.

Tatuz rzadko pojawiał się w domu. Pracował w Kuratorium Oświaty w Szczecinie. Był odpowiedzialny za zakładanie sieci szkół w całym województwie. Poza tym organizował seminaria nauczycielskie dla przyszłych pedagogów. Jedno z nich odbyło się nawet w naszej szkole. Tymczasem mama spodziewała się kolejnego dziecka. Nikt nie miał czasu mnie kontrolować. Chłopakowi w to graj. Wpadłem wówczas, jak zresztą wszyscy moi koledzy, w szpony nowej namiętności. Zaraz po lekcjach słyhać było wymawiane szeptem: „Idziemy na szaber!”

Niektóre źródła podają, że działania wojenne zniszczyły Kamień Pomorski w 70 procentach. Faktem było, że ratusz został spalony, trochę zburzono dworzec kolejowy, mleczarnię, a najbardziej widoczna była wyrwa od pocisku, która znajdowała się na browarze miejskim stojącym na nabrzeżu. Kamień Pomorski był opustoszały, jakby wymarły, czekający ze swoimi kompletnie umeblowanymi mieszkaniami na osiedleńców z dalekich stron. Pamiętam puste uliczki i otwarte drzwi opuszczonych domów. Wielką frajdę sprawiało nam chodzenie tymi ulicami i wybijanie szyb w oknach, procą lub kamieniami. Wchodziliśmy do mieszkań i darliśmy pięknie

oprawione książki drukowane niemieckim gotykiem. „To szwabskie, niemieckie!” – słowa te były jedynym usprawiedliwieniem chłopięcej bezmyślności. Schodziliśmy do piwnic, w których rzędami na półkach stały słoiki z przetworami. Kijami, nieodłącznymi towarzyszami naszych wypraw, z entuzjazmem uderzaliśmy w słoje pełne dobroci letnich dni.

Czasami znajdowaliśmy coś, co nam się podobało i braliśmy to niczym swoje. Niejednokrotnie, gdy wchodziliśmy do jakiegoś mieszkania, spotykaliśmy tam dorosłych. Przeganiali nas. Sami zabierali wszystko, co tylko mogło im się przydać.

Szabrownicy przyjeżdżali, by grasować w opuszczonych mieszkaniach i domach. Wynosili z nich wszystko, czym można było handlować. Z tych czasów pochodzi nazwa „szaberplac”, czyli plac, na którym sprzedawano rozkradzione dobra. Rosyjskie wojsko też się przyczyniło do zdewastowania tamtych ziem. Przywłaszczali sobie wszystko: szyny kolejowe, żelazne mosty, maszyny, a najchętniej rozbierali całe fabryki, które montowali potem na swoich ziemiach. Ale wróćmy do ponemieckich kamieniczek w Kamieniu Pomorskim. Okna bez szyb oraz dachy, niejednokrotnie okradzione z dobrych dachówek lub blach, nie chroniły tych budynków przed deszczem, wiatrem, śniegiem i mrozem. Marniały i popadały w ruinę, aż w końcu komunistyczne władze zrównały z ziemią pozostałości kamieniczek na starówce i pobudowały w tym miejscu nowe bloki, które stoją do dzisiaj.

Spadł śnieg. Był początek grudnia 1945 roku. Pewnego wieczoru nie pozwolono nam wejść do domu. Sąsiadka zabrała nas do swojego mieszkania i powiedziała, że będziemy spać u niej, bo mamusia jest chora.

- Ale się nie martwcie. Jutro będziecie mieć niespodziankę - dodała tajemniczo.

Rano 5 grudnia weszliśmy do sypialni rodziców. Mama leżała

w łóżku. Gestem pokazała nam, byśmy cichutko zbliżyli się do jej łóżka.

– Macie malutką siostrzyczkę – oznajmiła. – Chcecie ją zobaczyć? – zapytała i popatrzyła na nas pytającym wzrokiem.

Potakująco skinąłem głową. Mamusia pochyliła się nad malutkim łóżeczkiem stojącym obok dużego łóżka i odchyliła pieluszkę, która przykrywała leżącą na poduszce malutką główkę. Najpierw pochyliła się Rysia. Zerknęła zaciekawiona, ale od razu się wyprostowała się, a na jej buzi pojawił się grymas.

- Ale brzydka i mała! - powiedziała i odeszła do swoich pięknych, dużych lalek.

Po chwili i ja zobaczyłem malutką istotkę. Taką malusią i taką bezbronną! A jakie ma duże oczka! Uśmiechnąłem się do mamy.

– Mamusiu, ale z niej mała żaba! - wyszeptąłem.

Żabcia, Żaba, Żabulek. O tej pory nikt inaczej nie mówił do naszej malutkiej siostrzyczki. Dziewczynka miała otrzymać imię Joanna. Pracownik w urzędzie napisał Johanna, a kolejny - poprawił błąd na Hanna. I tak już zostało.

Szybko minęły pierwsze powojenne Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok 1946, przywitany hukiem zainscenizowanych przez nas wybuchów. Wszędzie było pełno porzuconej amunicji! Wszyscy chłopcy w tych czasach grzebali w porzuconych pociskach i amunicji. Niektórzy szli nad zalew i wrzucali ładunki do wody, aby ogłuszyć ryby. Prochu było dużo – nic tylko wyłuskiwać go z wszelkiego rodzaju pocisków walających się na ulicach, podwórkach i w opuszczonych budynkach. Nie zwracaliśmy uwagi na ostrzeżenia rodziców i nauczycieli, dopóki nie doszło do tragedii.



Niedaleko szkoły, na tej samej ulicy, stał długi murowany dom. Pewnego razu dwóch chłopców, którzy w nim mieszkali, znalazło pancerfausta. Zabrali go do piwnicy, gdzie po krótkim czasie doszło do potężnego wybuchu, któremu towarzyszyły ogromne tumany dymu. Niemal całkowicie zasłoniły dom. Wszyscy pobiegli zobaczyć, co się stało. Biegłem jako pierwszy, tam przecież byli moi koledzy! Żrący dym, zamykający wejście do piwnicy, długo nie pozwalał wejść do środka. Jednak jako pierwszy znalazłem się na dole i to co zobaczyłem trudno zapomnieć. Wśród dzieci, które przybiegły ze szkoły, była też i Rysia. Od tej pory bała się sama zejść do piwnicy. Ten wypadek uświadomił nam, jak niebezpieczne są nasze gry i zabawy. Nie oznaczało to jednak, że wyrzuciliśmy z kieszeni woreczki z prochem.

Z pierwszymi wiosennymi roztopami, nasza rodzina przeniosła się do domu przy ulicy Konopnickiej 12. Był to budynek dwurodzinny ze spadzistym dachem, udekorowanym facjatkami. Jedną połowę zajmowali państwo Wiśniewscy, a my - drugą. Podwórko przedzielał wysoki mur z wyrwą przy wejściu na klatkę schodową. Przylegały do niego zabudowania gospodarcze, równoległe usytuowane do domu. Za budynkiem rozciągał się ogród z drzewami owocowymi, oddzielony żywopłotem od pola, które także należało do nas. Do drzwi wejściowych prowadziły dwa schodki. Sąsiedzi okazali się bardzo mili, a wyłom w murze sprzyjał wymianie aktualnych informacji. W naszym nowym domu, ja i Rysia zajmowaliśmy dwa pomieszczenia na piętrze. W jednym pokoju spaliśmy, a w drugim - bawiliśmy się. Na piętrze znajdowała się także łazienka i nieużywana kuchnia. Na parterze natomiast była druga kuchnia, pokój stołowy i sypialnia rodziców, a prosto z korytarza wchodziło się do przepięknego gabinetu taty. Pod schodami, w drewnianej ścianie, znajdowało się dwoje drzwi. Pierwsze z nich prowadziły do piwnicy, a drugie do sporej, bogato zaopatrzonej spiżarni. Po głodnych dniach wojny,

naprawdę zaczęliśmy jadać wspaniale. Jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się prywatne wytwórnie wędlin, piekarnie, cukiernie i sklepiki w których sprzedawano przepyszne rzeczy.

Mama miała mnóstwo obowiązków związanych z opieką nad małą Żabą i prowadzeniem domu, a tata, jak zwykle, zniknął na całe tygodnie. Nie tylko zajmował się szkolnictwem, lecz także angażował się w działalność polityczną. Z ramienia PSL zakładał koła WICI, czyli Młodzieżową Organizację PSL. Do domu wracał o różnych porach, zwykle w nocy, kiedy już spaliliśmy. Nie widywaliśmy go zbyt często. Gdy przyjeżdżał, zostawiał motor ukryty w ogrodzie za budynkiem gospodarczym. Dlaczego nie w szopie? Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć.

To był rok 1946. Na ulicach leżał jeszcze brudny śnieg, ale pachniało już wiosną. Wszedłem na boisko. W szkole pootwierano okna. Ktoś uderzył we mnie śnieżką. Nie mogłem nie zareagować na taką zaczepkę, więc w środek śnieżki włożyłem kamyk i rzuciłem nim w kierunku okna. I, po raz drugi w życiu, wybiłem szybę. Za karę wyrzucili mnie z lekcji. Byłem zły, czułem się niewinny, wszak nie ja zacząłem! „Ja im jeszcze pokażę!” - pomyślałem sobie. Poszedłem na tył boiska, gdzie stały szkolne, drewniane ubikacje. Wyjąłem z kieszeni duży nabój rozrywający i woreczek z prochem. Z płaskiej strony naboju widać było wyciskany wzór sprasowanego różowego prochu. Nożykiem rozpułchnięm tę warstwę, a następnie nasypałem na nią górkę prochu z woreczka. Zapaliłem proch. Z doświadczenia wiedziałem, że jak płomień zacznie się wydobywać cienką strużką z pocisku, to trzeba go rzucić i od razu uciekać. Upuściłem więc pocisk w pierwszej kabynie i schowałem się za pobliską skarpa.

BUM!!! Wybuch był nadspodziewanie efektowny. W górę poleciały kawałki desek i brązowa breja. Okropny fetor rozszedł się dookoła. Nauczyciele wraz z uczniami wybiegli ze

szkoły, a ja uciekłem do domu. Zaniepokojonej mamie szybko coś odpowiedziałem i aby uspokoić swoje nieczyste sumienie, poszedłem narąbać drewno.

W szkole natychmiast się domyślili, kto był sprawcą wybuchu i nauczyciel napisał list do moich rodziców. Miała go zanieść koleżanka z klasy, która mieszkała w domu obok nas. Gdy mnie mijała, ze złośliwym uśmieszkiem pomachała kopertą, mówiąc:- Ha! A ja mam list ze szkoły do twoich rodziców! Zobaczysz, jakie dostaniesz lanie! Doigrałeś się! Ha, ha, ha – drwiła.

Tego nie mogłem znieść. Rzuciłem się z pięściami na dziewczynkę, wyrwałem jej z ręki nieszczęsny list i podarłem go na strzępy.

Wieczorem przyszedł tatuś. Tonem nieznoszącym sprzeciwu wezwał mnie do swojego gabinetu.

- Co dzisiaj narozrabiałeś? – spytał.

- Zbiłem szybę - powiedziałem cicho.

- A co jeszcze? – zapytał głosem nieprzyjemnie urzędowym.

- Wysadziłem ubikację.

- To wszystko?- Tatuś pytał dalej.

- Nie. Zbiłem Krysę.

- I coś jeszcze?

- Podarłem list – powiedziałem.

Wiedziałem, że tym razem miarka się przebrała. Ojciec kazał mi przynieść krzesło, po czym wyjął z szafy jeden ze skórzanych pasków od spodni. No i mi się dostało. Poczułem trzy piekące pasy na tyłku. Nawet nie bolało za bardzo, ale moja duma i godność ucierpiała. Po „egzekucji” usłyszałem: „Idź do mamusi i przeproś ją”.

W 2007 roku wpadłem na chwilę do Kamienia Pomorskiego i poszedłem do swojej byłej szkoły. Budynki jeszcze stały, ale zamieniono je na mieszkania.

- Może mogę w czymś pomóc? Pan kogoś szuka? – zagadnęła mnie starsza pani pracująca w ogródku. Chwilę porozmawialiśmy o latach powojennych i o szkole.

- Tak, tam jakiś uczeń wysadził ubikacje. Pamiętam to dobrze - powiedziała moja rozmówczyni.

Tyle lat minęło od tego wybuchu, a mimo to znalazł się świadek mojego wyczynu. Niesamowicie!

Jak tylko mogłem, wykorzystywałem brak codziennego nadzoru rodziców. Któregoś dnia zainteresował mnie port jachtowy, a właściwie wypalone łodzie i jachty. Przy zniszczonym pomoście wystawały z wody burty i maszty zatopionych jednostek. Niektóre były mocno uszkodzone i straszyły dziurami od pocisków. Otwarte drzwi do kabin ukazywały ich wypełnione wodą, ciemne wnętrza. Jedyną sprawną łódką przycumowaną do mola był dwumasztowiec naszej morskiej drużyny harcerskiej. (Mimo mojego wieku, zamiast do zuchów, przyjęto mnie do harcerstwa a właściwie do drużyny wodniaków.) Mieliśmy pływać po zalewie, a na brzegach rozbijać biwaki i obozy. No cóż, nie mogłem się doczekać rejsów, więc razem z Ziutkiem, kumplem ze szkolnej ławy, zapragnęliśmy mieć własną łódkę. Przy molo, niedaleko brzegu, wypatrzyliśmy zatopionego, małego bączka. Trudność polegała na tym, że był on przymocowany do pala łańcuchem z wielką zardzewiałą kłódką. Rozebraliśmy się i weszliśmy do wody. Scyzorykiem, który zawsze przy sobie nosiłem, wydłubałem z drewnianej belki metalowe uszko. Łódka była nasza. Starymi puszkami zaczęliśmy wybierać z niej wodę. Potem wypchnęliśmy ją na brzeg. Roboty było co niemiara. Sprawdziliśmy naszą łódkę. Nie miała żadnej dziury, a wyrwa w burcie była powyżej linii zanurzenia, więc w niczym nie

przeszkadzała. Po wymyciu z mułu i wysuszeniu okazało się, że wcale nie przecieka. Znaleziona wiosła umożliwiły pływanie naszym bączkiem, a chłopcy patrzyli na naszą łódeczkę z zazdrością.

Wodniacy z harcerskiej drużyny, mieli wypłynąć łodzią na pierwszy szkoleniowy rejs. Podniecony perspektywą nowej przygody powiedziałem mamie o porannej zbiórce przy molo. Mama bała się o mnie i nie chciała się zgodzić, abym wypłynął, lecz w końcu uległa. - „Dobrze, pójdziesz na zbiórkę, ale najpierw musisz narąbać drewno. Sama nie dam rady, a ty nie ma”.

Liczyła na to, że to dodatkowe zajęcie nie pozwoli mi punktualnie przybyć na zbiórkę i tym sposobem nie wypłynę łodzią z harcerzami. Tak się złożyło, że mama Ziutka również zadała mu jakąś niespodziewana pracę, więc spóźnieni, pędziliśmy przez puste uliczki do portu. Mieliśmy nadzieję, że na nas poczekają. Niestety, nie poczekali. Gdy dobiegliśmy do zalewu, zobaczyliśmy daleko od brzegu majestatycznie płynący dwumasztowiec w pełnym ożaglowaniu. Usiedliśmy zmęczeni i bardzo, ale to bardzo, zawiedzeni. Lekki wiaterek chłodził nasze rozgrzane biegiem ciała i marszczył nieznacznie wodę.

Wiatr wiał coraz bardziej, a od zachodu zaczęły napływać ciemne, pełne deszczu chmury. Na wodach zalewu toczyły się całkiem już spore fale. Nagle zauważyliśmy, że łódź z harcerzami stoi w miejscu, kołysząc się mocno, a żagle bezwładnie łopoczą. Zdawało nam się, że się dzieje coś złego. „Coś musiało się stać! Coś jest nie tak! Trzeba pomóc, przecież łódź pełna dzieci!” - myśli kotłowały nam się w głowie. - „Ziutek, szybko, spychajmy bączka i płyniemy, bo tam się potopią!” – krzyknąłem. – Musimy płynąć na ratunek! Ja będę wiosłować, a ty wylewaj wodę!” – dodałem, widząc wodę dostającą się przez uszkodzoną burtę. Nasza łódeczka z trudem

przebijają się przez coraz większe fale. Z całych sił napierałem na wiosła, a fale kołysały naszą łupinką, wlewając wodę nie tylko przez uszkodzoną burtę. Ziutek coraz szybciej pracował blaszanką, lecz wody z każdym przechyłem było więcej. Jeszcze trochę! Jesteśmy coraz bliżej i zaraz im pomożemy! I już jesteśmy!

Spojrzałem w stronę łodzi. Żagle ciągle jeszcze łopotały na wietrze, ale twarze dzieci były spokojne. Jeden ze starszych drużynowych ucieszył się, gdy zobaczył naszego bączka. Uśmiechnięty machał ręką w naszą stronę. Jak to dobrze, że przyплылиście, ja muszę jak najszybciej na brzeg. Spieszę się do pracy, a zanim nasza łódź dobije do portu, to trochę to potrwa! - krzyknął uradowany, a my spojrzeliśmy na niego ze zdziwieniem. Nagromadzone emocje nie pozwalały nam wypowiedzieć ani słowa. W końcu wykrzyknąłem: - Przecież my po dzieci... dzieci musimy ratować! No, co? Kto wraca z nami?. Dzieciaki wcale nie wyglądały na przerażone. Były raczej zachwycone huśtaniem. - Przecież wy nie płyniecie..... - dodałem. - Ależ nic złego się nie dzieje. Musimy tylko poprawić olinowanie i spokojnie dopłyniemy do brzegu. Nie martwcie się o nas – odrzekł inny drużynowy. – Zabierzcie tylko kolegę, bo on się bardzo spieszy!

Drużynowy wskoczył do bączka, którym tak gwałtownie zakołysało, że znowu nabrał wody. Chwycił za wiosła i szybko popłynęliśmy w stronę portu jachtowego. Szybko zapadł zmierzch, a wody zatoki stały się ciemne niczym atrament. Zrobiło się zimno i zaczął siąpić deszcz. Przemoknięci i zmarznięci przybiliśmy do brzegu. Bez pomocy drużynowego, który pobiegł do pracy, zacumowaliśmy łódkę. Zobaczyliśmy jak dwumasztowiec dopływa do portu.

Spieszyliśmy do domów, a echo naszych kroków odbijało się od ciemnych, oświetlonych tylko księżycem pustych ulic. W domu świeciło się światło w kuchni, a mama siedziała

pochylona nad stołem. Wszedłem cichutko, czułem, że znowu nabroilem. - Jest tatuś? - zapytałem z nadzieją, że jeszcze nie wrócił z pracy. Mamusia spojrzała na mnie srogo, ale widać było, że z ulgą przyjęła moje wejście. - Tatuś przyjechał – powiedziała. - Dychu, przebierz się w suche rzeczy i zaraz masz iść do jego gabinetu.

„No tak” - pomyślałem. „Na moje nieszczęście akurat dzisiaj musiał przyjechać do domu”. Pobiegłem na górę do swojego pokoju, zrzuciłem przemoczoną koszulę i spodnie. Ubrałem długie spodnie i sweter, po czym zbiegłem na dół. Zapukałem do drzwi i usłyszawszy ciche “proszę”, wszedłem do gabinetu. Okno zasłonięte było mięsistymi, pluszowymi kotarami. Nic dziwnego, że z ulicy nie zauważyłem, że tatuś jest u siebie. Pokój łagodnie oświetlała stylowa, mosiężna lampa z abażurem, która stała na biurku. Tata siedział obok biblioteczki z oprawionymi w skórę książkami. Nieśmiało stanąłem przy klubowym, skórzanym fotelu. Wtedy spojrzał na mnie i zapytał: - Powiedz mi, dlaczego tak późno wracasz do domu.

Zacząłem opowiadać, jak spóźniłem się na zbiórkę, że dzieci odpłynęły, że przecież musiałem płynąć bączkiem, by je ratować, że rozszalały się fale i że tak szybko zrobiło się ciemno... Mówiłem i mówiłem, ale tatuś był jakiś zamyślony i miałem wrażenie, że wcale mnie nie słucha; - Pomyślałeś o mamie, że martwi się, że ciebie jeszcze nie ma w domu? – zapytał. Spuściłem głowę, a tata dalej mówił: - Jeśli myślisz tylko o sobie, to będziesz teraz miał sposobność zastanowić się nad swoim postępowaniem w ciszy i odosobnieniu. Nie chcę już więcej słyszeć skarg mamusi na temat twojego zachowania. A teraz pójdziesz za mną – i skierował się w stronę wyjścia. Wyszliśmy z gabinetu. Tatuś zaczął schodzić do piwnicy. Otworzył drewniane drzwi w przepierzeniu oddzielającym część piwnicy. Leżało tam pełno pustych kartonów. Kazał mi wejść do komórki i zamknął drzwi na kłódkę.

-Tu zostaniesz i tu będziesz spał - powiedział i wyszedł, gasząc światło. Trudno, zasłużyłem na taką karę. Miałem jednak żal do tatusia za niedocenienie mojego szlachetnego porywu. Po omacku, ale sprawnie, zrobiłem sobie z kartonów całkiem wygodne legowisko, po czym położyłem się i przykryłem innym kartonem. Głodny byłem jak wilk, ale na kolację nikt mnie nie zawołał. Już prawie zasypiałem, gdy nagle zapaliło się światło. Usłyszałem ciche, drobne kroki zbliżające się do mojego „więzienia”. Po chwili zobaczyłem Rysię. W rękę trzymała kromkę chleba z wędliną, którą podała mi przez szparę w szczelblach.

- To od mamusi – powiedziała i wybiegła z piwnicy, gasząc światło.

Że też się odważyła sama wejść do piwnicy! Na pewno mama stała przy drzwiach i czekała na nią. W całkowitej ciemności spałaszowałem pyszną kanapkę i zadowolony ułożyłem się z powrotem na kartonowym legowisku.

Po kilku minutach znów zapaliło się światło. Tym razem w drzwiach komórki ukazała się mama. Otworzyła zamknięte na kłódkę drzwi. Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. Wyciągnęła do mnie rękę.

- Chodź tu, do mnie, mój biedaku – szepnęła. - Idziemy do łóżka. Przytuliła mnie a ja czułem, że już jest dobrze.

Następnego dnia w szkole aż huczało od opowieści o naszej akcji ratowniczej na wzburzonych wodach zalewu; jak małą łódeczką przebijaliśmy się przez ogromne fale, by w końcu zabrać drużynowego na brzeg. Te opowieści dotarły do moich rodziców. Wtedy dopiero zaczęli mi tłumaczyć, na jakie ryzyko się naraziliśmy. Ponieważ mama bardzo bała się wody, wiele razy ostrzegała mnie, bym więcej nie chodził nad zalew i nie pływał. Oczywiście nie posłuchałem.

Doszedłem do wniosku, że nasz bączek nie był doskonały i że



trzeba by znaleźć coś bardziej solidnego. W trzcinach, niedaleko portu, odkryłem opuszczony, drewniany jacht. Woda wdarła się do jego kabiny, ale po pokładzie można było swobodnie chodzić. „Być może uda mi się tę wodę wybrać, tak jak z bączka” – pomyślałem. Oczyma wyobraźni widziałem swój piękny, świecący mosiężnymi okuciami jacht, którego żagle wypełniał wiatr.

Na kanale Świniec, przy drodze do Dziwnowa, znalazłem wojskowy, metalowy ponton z drewnianą podłogą. Jego wymiary to mniej więcej 2 m na 2 m. Pomalowany był białą i czerwoną farbą. Sam nie wiem do tej pory, dlaczego właśnie tak go pomalowano? Opowiedziałem Ziułkowi o moim znalezisku. Zaraz po lekcjach popędziliśmy nad kanał, by dokładnie go obejrzeć. Głośno zaczęliśmy się zastanawiać, co z nim zrobić. Zgodnie postanowiliśmy, że przetransportujemy go do przystani.

-Trzeba go przewieźć łodem – zdecydował Ziułek. – U mojego wujka widziałem wózek, na pewno go nam pożyczysz – dodał. - Fajnie! To dzisiaj koniecznie z nim pogadaj. Najlepiej byłoby, byśmy mogli go przewieźć pojutrze, bo mamy tylko trzy lekcje – powiedziałem. – Myślę, że do wieczora się z nim uwiniemy.

Tak jak Ziułek przewidział, wujek pożyczył nam wózek. Zaraz po lekcjach wyciągnęliśmy go z szopy i zaciągnęliśmy nad kanał. Ponton był piekielnie ciężki. Musieliśmy wywlec go na trawiasty brzeg i jakimś cudem połączonym z nadludzkim wysiłkiem wsunąć na platformę wózka. Niestety, ponton ciągle się z niego zsuwał, więc jeden z nas ciągnął wózek, a drugi zabezpieczał go z tyłu i pchał, i tak na zmianę. Rozpoczęła się żmudna wędrówka do portu. Było ciężko, gdyż musieliśmy pokonać wyrwy w ulicy i iść pod górę. W końcu dopchaliśmy wózek z naszym skarbem i zjechaliśmy w dół - do portu jachtowego, gdzie nasza “jednostka pływająca” wywołała

sensację wśród kolegów. Opracowaliśmy plan przekształcenia pontonu w jacht, ale gdy zobaczyliśmy powątpiewające miny i wysłuchaliśmy negatywnych opinii znawców tematu, szybko porzuciliśmy ten pomysł. Przecież w sitowiu czekał na nas mój prawdziwy, wspaniały jacht, ale niestety, pełen wody.

Ponton okazał się bardzo pomocny, ponieważ był niezatapiający. Zacumowaliśmy go przy jachcie i z jego pokładu próbowaliśmy wylewać wodę z jachtu. Naiwnie myśleliśmy, że uda nam się to zrobić wiadrami. Niestety, w burcie albo na dnie łódki musiała być duża dziura, gdyż wody, mimo naszych wysiłków, nie ubywało. W końcu pogodziliśmy się z faktem, że nie uda nam się podnieść zatopionego jachtu.

W sukurs przyszła dziecięca wyobraźnia. To głównie dzięki niej odbywaliśmy najodleglejsze wyprawy naszym jachtem...

Zbliżały się moje pierwsze prawdziwe wakacje.

Nie miałem problemów z nauką, choć musiałem prosić o pomoc przysłego nauczyciela, który właśnie kończył seminarium nauczycielskie. Pochodził z Zakopanego i wspaniale rysował, a ja nie oddałem do oceny końcowej ani jednego z rysunków, które powinienem wykonać w ciągu roku, czyli około dziesięciu sztuk. Moje zdolności plastyczne były marne. Czuję nóż na gardle. Franciszek mieszkał koło szkoły, więc pobiegłem do niego z plikiem czystych kartek. Miałem szczęście, był w domu. Zdyszany przycupnąłem na krześle obok stołu, przy którym siedział i rysował.

- No, co tam chowasz Dychu? - zapytał i popatrzył na mnie.

Wyciągnąłem moje kartki i szybko wyłuszczyłem problem. Franek uśmiechnął się, wziął ołówek i zapytał:- Co mam narysować?

Szybko, wprawną ręką wyczarowywał na kartkach ośnieżone góry ze smrekami w śniegowej czapce, dzieci ślizgające się na

zamarzniętym jeziorze, dziewczynkę z psem i siedzącego na ławce bałwana. Jeden po drugim, w okamgnieniu, powstawały obrazki. W ten sposób zaliczyłem trzecią klasę i zdałem do czwartej!

I już wakacje! Na harcerzy czekał rejs do Dziwnowa, a tam - w najprawdziwszych wojskowych namiotach z pryzkami - obóz harcerski. Była też prawdziwa wojskowa polowa kuchnia, a na skraju obozu w lesie stała latryna, czyli wykopany w piachu rów, a nad nim jedna długa belka, na której się siadało, i druga wyżej, służąca do oparcia.

Obóz składał się z dwóch podobozów - chłopięcego i dla dziewcząt. Do obozu dziewczyn robiliśmy nocne podchody, aby spuścić im linki od namiotów. Wrzask był niesamowity, a my mieliśmy ubaw po pachy. Nasze koleżanki chciały odwdziżyć się nam tym samym, ale od czegoś są warty!

Najfajniejsze było chodzenie na azymut, szczególnie w nocy. Włóczęgi po lesie, plażach, nocowanie we własnoręcznie zbudowanych szałasach były fantastyczną i niezapomnianą przygodą. Pokochałem życie wagabundy, prawdziwego włóczykija.

Obóz się skończył, ale wakacje w Kamieniu Pomorskim miały i tak mnóstwo atrakcji.

Moje umiejętności pływackie doskonaliłem z dnia na dzień. To już nie było takie pływanie jak w Głębocku, kiedy chciałem się popisać przed tatusiem, który przyszedł nad jezioro z grupą dorosłych. Wtedy poprosiłem ojca, by zobaczył jak wspaniale pływam. Był to styl "na kangura". Polegał na tym, że na jednej nodze odbijałem się od dna i skakałem, rozgarniając wodę rękoma. Tatuś z zainteresowaniem przyglądał się moim wyczynom, ale Rysia złośliwie się ze mnie śmiała. Świetnie znała ten styl. Sama też tak pływała.

Codziennie biegliśmy na molo, ściągaliśmy ciuchy, które

starannie układaliśmy na belce konstrukcyjnej pod deskami mola, i nadzy rzucaliśmy się do wody. Potem wylaziliśmy na molo, aby z wystających pali skakać do wody na nogi i na głowę. Wywoływaliśmy fontanny rozbryzgów. Śmiechu było co niemiara. Pewnego dnia, kiedy baraszkowaliśmy w wodzie, Jakub, nasz kumpel, wpadł na głupi pomysł. Gdy zobaczył, że bulwarem w stronę mola idzie grupa dziewcząt, ukrył nasze rzeczy i co gorsze, zdradził ten fakt dziewczynom. Zobaczyliśmy idące dziewczęta i chcieliśmy się ubrać. A tu nie ma naszych rzeczy! Dziewczęta, chichocząc, dokuczały nam, a my, biedni, ukrywaliśmy się w wodzie, w cieniu mola. Długo trwało, zanim Jakub przyniósł nam ubrania. Zdażyliśmy solidnie zmarznąć. Postanowiliśmy wykluczyć zdrajcę z naszej paczki. Chodził potem za nami do końca wakacji i potwornie się nudził.

Jesień zaskoczyła nas ostrym wiatrem od morza. Zimnym i mokrym. Gwizdał przeciągle w szparach okien, a mamusia narzekała, że od nieustannego wiatru boli ją głowa. Nie znosiła tego zawodzenia.

Któregoś dnia poszliśmy z chłopakami na szaber. Z daleka zobaczyliśmy na ulicy dużą grupę ludzi. Ludzie wchodzili i wychodzili z małego domu, a kobiety coś do siebie szeptały. Niejedna ocierała oczy chusteczką. Zaciekawieni podeszliśmy bliżej. Usłyszałem, jak opowiadają o mężczyźnie, który popełnił samobójstwo. Strzelił sobie w głowę. Życie nie miało dla niego sensu bez ukochanej dziewczyny. Ona go nie chciała.

Weszliśmy na pierwsze piętro, by zobaczyć samobójcę. W trumnie leżał młody mężczyzna z opatrunkiem z gazy, ukrywającym ranę na skroni, a rodzina ubrana na czarno stała obok. Dziewczyna, która odrzuciła miłość, płakała. Słaniała się z rozpacz tak, że musiały ją podtrzymywać dwie kobiety. „Po co tak teraz ryczy, jak go nie chciała? Przecież to przez nią nie żyje” - myślałem naiwnie.

Okropne wrażenie zrobiła na mnie pierwsza, widziana z bliska, śmierć. Do tej pory nie widziałem nieżywego człowieka. Nawet, gdy w Tucholi umarł nasz pradziadek Piotr, dorośli zrobili wszystko, byśmy nie zobaczyli zmarłego i nie uczestniczyli w pogrzebie. Moi koledzy też zrobili się jacyś milczący i już nie mieliśmy ochoty więcej szabrować. Rozeszliśmy się do domów.

W domu pojawił się duży pies. Przybłąkał się do nas, więc mama zgodziła się przygarnąć Burka. Stał się moim najwierniejszym przyjacielem i łąził za mną wszędzie; nawet wtedy, gdy chodziliśmy z chłopakami rzucać kamieniami w domy Niemców.

W Kamieniu Pomorskim pozostało kilka rodzin niemieckich, ale nikt ich nie lubił. Obwiniani byli za wszystkie wojenne krzywdy. Żał mi ich było, nie sądzę, by ci ludzie cokolwiek zawinili. Koledzy opowiadali mi o wielu okropnościach, których dopuszczali się Niemcy podczas wojny, lecz te historie nie mieściły się w mojej chłopięcej głowie. Nie mogłem w nie uwierzyć, wydawały się zbyt okrutne, więc na pewno były zmyślone. Mimo to też rzucałem kamieniami.

Przyszła zima. Spadł śnieg i wody zatoki zatoki pokryły się lodem. Na łyżwach jeździliśmy aż do Dziwnowa! Miałem łyżwy, sanki i nawet rower. Wszystko z szabru! Mój wspaniały, silny pies ciągnął sanki z wielką ochotą i prawdziwym entuzjazmem, o który sam zadbałem. Siedziałem na sankach, a w dłoni trzymałem długi kij. Na jego końcu dyndał na sznurku kawałek kiełbasy. Wisiał tuż przed nosem Burka, który biegł, by go schwytać. Zatrzymanie zaprzęgu było proste. Wystarczyło zabrać psu kiełbasę. Zaprzęg robił furorę wśród kolegów. Rysia nie chciała jeździć na sankach zaprzężonych Burkiem. Wolą siedzieć w domu i czytać książki. Wieczorem wściekałem się na nią, żeby wreszcie zgasła światło, ponieważ nie dawała mi zasnąć. Wtedy brała latarkę pod kołdrę i nadal

ślęczała z nosem w lekturze.

Wigilia 1946 r. W domu pojawiła się pięknie przystrojona choinka i tata częściej zaczął bywać z nami. Któregoś dnia do Kamienia Pomorskiego przyjechało kino. Zachwycony opowiedziałem o tym tacie. Pod wieczór do taty przyszedł znajomy, a po pewnym czasie mama kazała mi ciepło się ubrać. Moje marzenie o wyjściu do kina właśnie miało się spełnić. Wyszliśmy w ciemność. Przez całą drogę tata rozmawiał z kolegą. Ja dreptałem z boku i starałem się nadążyć za mężczyznami. Czułem się taki trochę pominięty. Szliśmy środkiem ulicy, niebo iskrzyło milionem gwiazd, a śnieg skrzypiał głośno pod nogami. Mróz nie pozwalał swobodnie oddychać.

W kinie było pełno ludzi, ktoś znajomy zauważył nas i kiwnięciem ręki wskazał na dwa wolne miejsca w środku rzędu. Uściskiem za ramię tata skierował mnie w stronę zarezerwowanych dla nas krzeseł. Patrzyłem na duży biały ekran i powoli się przeciskałem. Tatusz mnie zawołał. Zdziwiony zawróciłem, potykając się o nogi siedzących. Tata bez słowa chwycił mnie za ramiona, obrócił twarzą do siedzących w rzędzie osób i popchnął, dając do zrozumienia, jak powinienem iść na wskazane miejsce. W ten sposób wpoił mi jedną z zasad właściwego zachowania na całe życie.

Szkoła, wakacje i szkoła. Czas biegł utartą ścieżką.

Nadeszła druga powojenna Wigilia. Mamusia krzątała się w kuchni. W całym domu pachniało ciastem. Na nakryty białym obrusem stół ustawiała talerze z odświętnej porcelany, sztuce i talerzyk z opłatkiem, a przed samą kolacją - półmiski i misy z wigilijnymi wspaniałościami. Oczy nam się śmiały do tych pierogów, ciast i innych dań. Zgodnie z tradycją było ich dwanaście. W brzuchu burczało, więc razem z Rysią i malutką Żabą niecierpliwie wypatrywaliśmy pierwszej gwiazdy. Świąteczny stół wyglądał wspaniale. Usiąść przy nim było

ukoronowaniem całego dnia, całego roku a właściwie to wielu wojennych lat. Byliśmy razem! Tatuś, mamusia i my.

Tatuś pracował w terenie i rzadko przyjeżdżał do domu. Wtedy skwapliwie wykorzystywałem jego nieobecność i przenosiłem się do sypialni rodziców. Miło było zasypiać, wiedząc, że mama jest obok.

Pewnej nocy z błogiego snu obudziły mnie szepty i cichy, całkiem inny, śmiech mamy oraz szelest wykrochmalonej, świeżej pościeli.

- Cicho, bo obudzisz Wojtka – usłyszałem mamę.

- Nie obudzę, on mocno śpi – mruczał tatuś i łóżko zaskrzypiało.

„Aha! Tata przyjechał” – pomyślałem i sen zwyciężył. Rano, gdy się obudziłem, taty już nie było. Normalne.

## **Koniec szczęśliwego dzieciństwa**

Tatuś coraz rzadziej przyjeżdżał do domu, za to zaczęły się inne niepożądane wizyty. Pamiętam, że nigdy nie zamykaliśmy drzwi na klucz, ale gdy po raz pierwszy załomotali w nie tajniacy z pepeszami, nacisnęli klamkę i wpadli do nas jak tornado, musieliśmy zmienić przyzwyczajenie, żeby dać tatusiowi czas na ucieczkę. Mama była przerażona i płakała. Tajniacy często przychodzili, szukali ojca i krzyczeli na mamę, a my tuliliśmy się do niej. Wtedy, by nie słyszeć brutalnych krzyków i stłumić strach, patrzyłem na wiszący w gabinecie ojca obraz, przedstawiający wzburzone morze i mały żaglowiec. Teraz, po latach, gdy myślę o moim dzieciństwie, widzę ten pełen grozy pejzaż.

Czasami tatuś przyjeżdżał i jak zwykle, swój motor parkował w ogrodzie za szopą. Kiedy tajniacy walili w drzwi, uciekał na

górze po schodach, wychodził przez okno na piętrze i po gzymsie przechodził do okna sąsiadów. Potem jak najszybciej przemykał przez podwórze i ogród, aż do motoru. Uciekał. Państwo Wiśniewscy zawsze pomagali swojemu sąsiadowi. Te sytuacje sprawiły, że straciliśmy poczucie bezpieczeństwa. Na szczęście po pewnym czasie niechciane wizyty ustały.

Wakacje jak zwykle spędziłem na obozie harcerskim, który niespodziewanie szybko minął, a potem spędzałem czas z kolegami w porcie albo obijałem się koło domu.

Był piękny sierpniowy dzień. W domu nie miałem nic do roboty. Usiadłem na drewnianym klocek w ogrodzie i obserwowałem kurę sąsiada. „Jak ona tutaj przelazła” - zastanawiałem się. Wyciągnąłem z kieszeni kozik. „Zaraz nastraszę to głupie ptaszysko. Co ona tutaj tak się panoszy” - pomyślałem i zmrużywszy oczy, by lepiej ocenić cel, rzuciłem kozikiem. Patrzyłem osłupiały, jak nóż błysnął w powietrzu i wbił się w sam środek głowy, ozdobionej czerwonym grzebieniem. Kura wrzasnęła przeciągłym gdaknięciem i rozłożyła szeroko skrzydła. Nóż wypadł z głowy ptaka na ziemię i ukazał swoje skrwawione ostrze. Kura jeszcze raz gdaknęła i padła niedaleko scyzoryka.

Jestem mordercą kury! Ćwiczyłem rzucanie nożem do drzew w ogrodzie i nawet dobrze mi szło, ale nie przypuszczałem, że trafię w kurę. Cała rodzina sąsiadów wybiegła przed dom. Wszyscy na mnie krzyczeli. Moja mama wzrokiem oceniła sytuację i wróciła do domu po portmonetkę. Zapłaciła sąsiadce za kurę i ugotowała rosół na obiad. Nie odezwała się do mnie ani słowem, nawet nie pochwaliła mnie za taki celny rzut. Ale i tak myślę, że była pod wrażeniem. Wszystkie drzewa w ogrodzie nosiły ślady noża, bo tak pilnie trenowałem

Nie minęło lato i bezpieka znowu przypomniwała sobie o tatusiu. Przychodzili do nas, robili rewizje, wrzeszczeli i czegoś szukali. W mieście natomiast po kolei zamykali wszystkie



prywatne sklepiki, piekarnie i warsztaty. W jednej chwili zniknęły wspaniałe, smaczne, pachnące wyroby. Dlaczego? To nie pasowało do komunistycznych planów stalinowskich zaborców. Prywatna działalność polskich rzemieślników i przedsiębiorców nie była po linii partii. Od tego czasu wszystko miało być wspólne, byle jakie, ale państwowe.

Nadszedł bolesny dzień dla naszej rodziny. Niespodziewanie przyjechał wujek Edek. Powiedział mamie, że tatuś w ciężkim stanie leży w szpitalu w Bydgoszczy. Mama natychmiast tam pojechała. Małą Żabę oddano pod opiekę babci Ludwice, a mnie i Rysię wujek zabrał do siebie, do Bydgoszczy. Tatusia żywego już więcej nie zobaczyłem. Nikt mi nie powiedział, co się stało. Dlaczego Tatuś jest w szpitalu? Był zdrowy, młody i jeździł na motorze. I skąd wziął się wujek? Dlaczego nas zabrał? Dlaczego tata nagle znalazł się w Bydgoszczy? Nikt nie chciał nam odpowiedzieć na te pytania. Niszczono nam życie nie wyjaśniając dlaczego.

Tata leżał w szpitalu około dwóch tygodni. Nie mógł jeść i bardzo schudł. Przyjeżdżał do niego z Zembrza starszy brat Bolesław z Gertrudą, córką młodszego brata Józefa. Tata prosił by Gercia przywoziła mu jedzenie. Bał się jeść to, które mu podawano. Gotowała u swojej cioci w Bydgoszczy i próbowała karmić tatę delikatnymi i pożywnymi rosółami, ale to nic nie dało. Bardzo cierpiał, ale wiedział, że nie może dłużej zostać w szpitalu, że musi uciekać. Ostatkiem sił ubrał się i wyszedł z budynku. Był zbyt słaby i nie mógł iść, słał się na nogach. Szybko zauważono jego ucieczkę i położono do łóżka. Nazajutrz, 12 listopada 1948 r tatuś zmarł. Miał tylko 42 lata.

Następnego dnia wujek Edek zawołał mnie i Rysię i krótko nam oznajmił: „Wasz tata miał wypadek i zmarł po operacji. Jutro pogrzeb. Potem Dychu zostanie w Bydgoszczy u mnie i będzie chodził tu do szkoły”.

Jaki wypadek? Myślałem, że na motorze...

Właściwie taty prawie nie znałem. Najpierw wojna i oflag, a potem praca i działalność polityczna nie pozwoliły mi lepiej go poznać. Był ciągle nieobecny. Co dalej będzie? Mam zostać w Bydgoszczy? Co się stanie z moim psem? A koledzy, przecież mieliśmy tyle planów!? A co będzie z mamą? Gorzkie łzy płynęły mi po twarzy. Mój mały świat znów się zawalił. Koniec i kropka, tak ma być i już! Nie było żadnej dyskusji. Czulem się jak porzucony pyłek, klocek, pionek, z którym nikt się nie liczył..

Pogrzeb taty: Zapłakana mama, Antosia, służąca wujka Edka, z Żabą na ręku, Rysia i ja. Obok nas stał wujek Edek z cicią Basią. Z Legnicy przyjechała ciocia Ola, najmłodsza siostra mamy, w pięknym futrze. Był brat tatusia Bolek z Zembrza i Józef z Radoszk. Przyjechała babcia Ludwika z dziadkiem Kazimierzem z Tucholi. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się prawdy o śmierci ojca od cioci Oli, wtedy mieszkającej w Gdańsku-Wrzeszczu. Prawdy tak skrzętnie ukrywanej. To było morderstwo. Bezpieka zastawiła pułapkę na mojego ojca. Został postrzelony pięciokrotnie. To było w latach 1945-48, kiedy z rąk NKWD i bezpieki KBW padło najwięcej ofiar. Przynależność wojenna do Armii Krajowej i inne niż komunistyczne spojrzenie na najnowszą historię były surowo karane przez służalcze sądy. Za opozycyjność nie szło się na "cztery-osiem" (czyli dwie doby) do aresztu, nie dostawało się w najgorszym razie paroletnich wyroków. "Wrogów ludu" czekała kulka w głowę lub zsyłka na Syberię - tą nieludzką ziemię.

Mój tata dostał śmiertelną serię w brzuch. Zostaliśmy sierotami. Mamusi zniszczono życie. Skończyło się moje szczęśliwe dzieciństwo. Miałem 12 lat.

## Gorzki chleb sieroty -Bydgoszcz

W Bydgoszczy, tu u wujka nie chcę być, to nie mój dom! Buntowałem się, ale byłem bezsilny. Zamieszkałem w tym przestronnym mieszkaniu, ale w nim nie było dla mnie miejsca. Raz rozkładali mi łóżko w salonie albo jadalni, innym razem w kuchni, kiedy do wujostwa przychodzili goście. Był jeszcze gabinet wujka i sypialnia, ale tam nie miałem wstępu. W kuchni królowała Marysia, a pokoje sprzątała Antosia. Marysia była już starszą kobietą, którą znałem dobrze, gdyż mieszkała z nami w Tucholi podczas wojny. Była wychowanicą dziadków. Z Tucholi pochodziła też Antosia, którą jako 19-letnią dziewczynę Biskup wziął na służbę.

Mieszkanie było ogromne. Składało się z czterech pokoi, dwóch słuźbówek, kuchni, spiżarni, łazienki i ubikacji. Miało dwa wejścia – paradne, z marmurowej klatki schodowej, i mniejsze - do kuchni. Kamienica, w której się znajdowało, też była olbrzymia. Jej kamienne balkony wychodziły na ulicę Focha, gdzie po wąskich szynach sunęły rozklekotane tramwaje. Na wprost domu płynęła rzeka Brda, a nad nią przerzucony był most. Za rzeką widziałem stare spichlerze i ceglaną gotyką katedrę. Może i ładnie było w Bydgoszczy, ale ja tęskniłem za Kamieniem Pomorskim.

Nie lubiłem wujka Edka. Za to sympatią darzyłem jego żonę - ciocię Basię. Była ładna, wesoła i rozśpiewana, czasami tylko jej wesołość wydawała się trochę sztuczna. Tak pięknie zapowiadała się jej kariera filmowa, otrzymywała role w teatrze i filmach, aż tu nagle w prowincjonalnym mieście została żoną lekarza i panią domu. Nic dziwnego, że tęskniła za dawnym przedwojennym, artystycznym życiem i przerwana karierą.

Najbardziej lubiłem, gdy wujek wyjeżdżał do Warszawy. Zaglądałem wtedy do jego gabinetu i z ciekawością oglądałem przedmioty ustawione na pięknym stylowym biurku.

Marmurowa podstawka z kałamarzem, rynienki do piór, szkatułka na stalówki, nożyk do przycinania papieru i ciężka suszarka z bibułą. Wszystko ustawione w znanym tylko wujkowi szyku. Nic nie miało prawa być przestawione. Nieraz byłem świadkiem napomnień na temat niedokładności sprzątającej Antosi, której nie wolno było przesunąć w inne miejsce jego bezcennych przedmiotów. Z czasem uwagi wujka zaczęły dotyczyć także i mnie. Za wszystko, co zrobiłem lub nie zrobiłem, byłem zgryźliwie upominany. Buntowałem się, żyłem z poczuciem krzywdy i niesprawiedliwości.

Nie chciałem wracać do tego domu. Włączyłem się po ulicach. Któregoś razu doszedłem do mostu nad Brdą. „Co mam zrobić? Czy mogę coś zmienić?” – myślałem. Przystanąłem przy żelaznej barierce mostu i patrzyłem na wolno płynącą barkę. Przechyliłem się głęboko i zauważyłem wystające żelazne haki na których leżały duże, szare rury. „Pokażę wujkowi, niech się o mnie trochę pomartwi! Ludzi tu pełno więc będą krzyczeć i to co zrobię może dotrze do nich! A może nawet wyjdą na balkon zaciekawieni tłumem na moście.”

Przeszedłem przez barierę i usiadłem na wystającym haku. Machałem nogami i gapiłem się w wodę. Tak jak przypuszczałem, przechodnie natychmiast zauważyli mój wyczyn i na moście zebrał się tłum ludzi. Krzyczeli, że spadnę i się utopię. Popatrzyłem przez chwilę na nich, złapałem rękoma hak i zsunąłem się w dół. Zawisłem na rękach i bujałem się przez chwilę. Ludzie skamienieli ze zgrozy. „O nie! Czy oni myślą, że będę skakał? No, już dość tego przedstawienia” – pomyślałem i powoli przeciągnąłem nogi tak, by móc ponownie wygodnie usiąść na haku. Teraz bez trudu złapałem barierkę i wskoczyłem na chodnik mostu. Ludzie widząc to rozstąpili się, zapanowała cisza, a ja uciekłem. Kiedy wszedłem do mieszkania, domownicy wiedzieli już o moim wyczynie. Byli przestraszeni, zwłaszcza Basia. Nic nie mówili, ale od tego dnia w domu zrobiło się

dużo milej.

Odmianą w monotonnym rytmie dni była wizyta cioci Oli i wujka Pawła Wolskich. Przyjechali z Kamienia Pomorskiego. Od nich dowiedziałem się, że mamusia postanowiła przenieść się z Rysią i Żabą do Piły, by być blisko swojej ulubionej kuzynki Anety Skibickiej. Dom z wyposażeniem zostawiła siostrze. Sama niewiele mogła zabrać; trochę pamiątek i ulubionych rzeczy oraz ukochany obraz przedstawiający maki. Zasmucił mnie fakt, że nawet wakacji nie będę mógł spędzić w miejscu najbliższym mojemu sercu.

Wujostwo wniosło do domu tyle zamieszania, że mój smutek szybko został przegnany. Byli młodzi, ładni, weseli i widać było, że są doskonale rozumiejącą się, kochającą parą. Poznali się w wojennej Warszawie, kiedy ciocia była sprzedawczynią w sklepie. Koleżanki postanowiły zapoznać ją z bardzo przystojnym panem Pawłem, a dalej poszło jak z płatka. Po wybuch powstania warszawskiego, Paweł walczył w oddziale powstańczym, aż do oficjalnej kapitulacji, i dzięki temu uszedł z życiem. Wcześniej poddających się powstańców traktowano jak bandytów i rozstrzeliwano na miejscu. Ola i Paweł odnaleźli się i pobrali. Wujek Paweł był bardzo wysoki i jako jedyny dorosły (o dziwo!) interesował się tym, co robię i z uwagą słuchał tego co mówiłem.

Pewnego dnia całą gromadką wybraliśmy się na spacer i właśnie wtedy Wujek kupił mi w narożnej kawiarni, prawdziwe lody w wafelku. Trzy kulki, wspaniałe zimne i cudownie owocowe. Szczęśliwy szedłem koło mojego wujka. To pierwsze moje niezapomniane lody!

Wieczorami, podczas przedłużającej się kolacji, dorośli wspominali swoje warszawskie życie. Basia opowiadała o rolach w teatrze i filmach. Śmiała się, ale jej oczy były smutne. Ola z Pawłem mówili o powstaniu. Tylko pochmurny Edek Biskup siedział w fotelu i się nie odzywał.

Biskupowie zmienili mieszkanie, bo wujek Edek awansował. Został lekarzem wojewódzkim w Bydgoszczy. Wtedy przenieśliśmy się do domu przy ulicy 24 Stycznia (obecnie ulica 20 stycznia), nie tak hałaśliwej jak poprzednia. Nowe mieszkanie było jeszcze większe od poprzedniego. Zajmowało pół pięttra, a dodatkowym atutem było to, że na tym samym piętrze mieszkała ciocia Iza z mężem, który był redaktorem bydgoskiej gazety codziennej - „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”. To była piękna para. On szalenie kulturalny a ona piękna i elegancka.

U wujostwa w nowym mieszkaniu, było nas troje dzieciaków. Dojechała Rysia i Magda - córka warszawskiej przyjaciółki cioci Basi. Byliśmy półsierotami, które „szlachetny” wujek Edek postanowił przechować u siebie, aby owdowiałe matki mogły poukładać sobie z nagłą osamotnione życie.

Dziewczęta mieszkały w pokoiku z oknem wychodzącym na podwórze, a ja spałem w pokoju, który miał bezpośrednie wejście do łazienki. W mieszkaniu wujostwa znajdowała się jeszcze sypialnia i duży pokój stołowy, połączony rozsuwanymi drzwiami z gabinetem wujka. W stołowym królował owalny, rozsuwany stół z krzesłami oraz serwantki z porcelaną stołową i szkłem. W gabinecie, po prawej stronie od wejścia, stało biurko wujka, a tuż przy oknie - lśniący czarny fortepian. Całości wystroju dopełniał komplet skórzanych foteli klubowych z małym stolikiem. Rozsuwane drzwi czyniły z obu pomieszczeń idealne miejsce spotkań towarzyskich. W mieszkaniu była też duża kuchnia, przy niej - malutka służbówka Marysi, a z drugiej strony łazienki - druga służbówka Antosi. Wszystkie te pomieszczenia łączył długi hol. Antosia miała w nowym mieszkaniu dużo sprzętania, a my – jak to dzieci - nie ułatwialiśmy jej tego zadania.

W zwykły dzień jadaliliśmy u dziewcząt. Rysia i Magda były równolatkami, starszymi ode mnie o rok i dużo wyższymi.

Szybko się ze sobą zaprzyjaźniły. Często mi dokuczały. Gdy na kolację dostawaliśmy duży talerz z piramidą kanapek, dziewczyny szybko je zjadały, a ja, ten powolny, zostawałem z jedzoną właśnie kanapką w ręku przed pustym talerzem. Potem, za każdym razem, gdy dziewczęta sięgały po kolejną kanapkę, brałem kilka na zapas i kładłem je na swój talerzyk. Moja piramidka rosła, a dziewczęta tylko czyhały, aby wykraść mi kanapkę.

Pewnego dnia ciocia Basia zawołała do salonu całą naszą trójkę. Kazała nam wygodnie rozsiąść się w fotelach, a sama przysiadła na kanapie. Spojrzała na mnie i powiedziała:

-,„Poprosiłam was tutaj, by uzgodnić pewną kwestię dotyczącą ciebie” – spojrzała na mnie wymownym wzrokiem. -,„Tak naprawdę, to ani Bubi, jak cię nazywali w czasie okupacji, ani Dychu, tak jak teraz, nie jest właściwie twoim imieniem. Teraz dorosłeś, więc należałoby mówić do ciebie Dionizy”.

Dziewczynki zaczęły chichotać, ale ciocia szybko je uciszyła, mówiąc: -,„No, no, nie śmiejecie się, bo ciebie Rysiu nie tak dawno nazywano Lilu. Rysia jest zdrobnieniem od Marysi, więc niech tak już zostanie” - i ciocia mówiła dalej. -,„Dionizy to takie niespotykane, poważne imię i trochę nie pasuje do ciebie. Ale masz jeszcze drugie imię: Wojciech. Uważam, że powinniśmy mówić do ciebie Wojtek! Więc od dzisiaj będziesz Wojtkiem!”

„Może być Wojtek” – pomyślałem. Nawet bardziej podobało mi się to imię od poprzedniego, tym bardziej że i mamusia czasami tak się do mnie zwracała. (...)

Klaus, dziękuję za lata u Ciebie spędzone i za te przeżycia w powietrzu, których nie można zapomnieć i na zawsze pozostaną w moim sercu.

## Część II

### Najlepszy Pilot Złej pogody

(nazwa nadana przez bawarskich pilotów)

#### Nowe życie na obczyźnie

Kuzynka moja, Iza Biernacka szczupła, energiczna o bardzo dobrym sercu, stanowcza i wymagająca. Wcale nie zdziwiła się moim przyjazdem i powiedziała – Jak byliśmy w Polsce obserwowałam cię przez ten okres i wtedy już stwierdziłam, że tam nie pasujesz. A pamiętasz, że mówiłam ci jak pierwszy raz byłeś u nas, i nie chciałam abyś wracał.

Mąż Izy Günter, przybrał trochę na wadze, a mały synek Oliver już kawaler.

-To pojutrze jedziemy na lotnisko po twoją żonę? - mówiła Iza stawiając przede mną późne śniadanie. - Ciekawa jestem maleństwa, przecież ma dopiero osiem miesięcy.

Dostałem pokój do dyspozycji, który zupełnie nie odpowiadał funkcją dla pobytu małego dziecka. Resztę dnia Iza spędziła przy telefonie. Opowiadała wszystkim o moim przyjeździe, o tym, że przyjechaliśmy zza „żelaznej kurtyny“ i nic nie mamy dla dziecka ośmiomiesięcznego. Wieczorem Günter siedział za kierownicą, Iza obok, a ja z tyłu sam i obserwowałem drobną postać tego pierwszorzędnego organizatora. Odwiedziliśmy pięć rodzin i tym sposobem



samochód został załadowany wszystkim, co Fabianowi może się przydać w okresie pierwszych trzech lat jego życia. Dostaliśmy łóżeczko, wózek, ubranka, pieluszkę i zabawki. Wszystko, co może się przydać. Już wcześniej poznałem ten cudowny zwyczaj kobiet niemieckich, wspomnę tylko Beul, które nie wyrzucają już niepotrzebnych rzeczy, ale piorą prasują i odkładają czekając na potrzebującego. Jeden dzień wystarczył aby funkcjonalny wystrój mojego pokoju dostosować do potrzeb tej najważniejszej osóbkki.

Punktualnie z godziną przylotu całą rodziną czekaliśmy przed wyjściem pasażerów lądujących maszyn. To były minuty czekania, kiedy ukazał się wózek i Szeniek z szukającym nas wzrokiem. Nie wyobrażała sobie być tutaj samą. Iza nie znała mojej żony. Hamburgczycy nie są tacy wylewni, ale jak raz znajdą dla ciebie miejsce w swoim sercu, to wyjścia nie ma. Tacy oni są, za to ich kocham i szanuję.

Dwa tygodnie spędziliśmy u Izy. Odwiedzając Chryste, siostrę Izy, mieszkającą w Harburgu w ślicznym dużym domu, zatopionym w zieleni. Christa miała dwóch synów i najmłodszą córkę. Charakterem różniła się od siostry diametralnie. Była spokojna zrównoważona – typowa słowianka.

Tak minęły beztrudnie dwa tygodnie. Po południu przy kawie Iza pozbierała całe towarzystwo w salonie i przejęła rolę wiodącej – Nie wiem czy wszystko udało mi się załatwić, ale w Friedlandzie już o was wiedzą i mamy tam przyjechać. Przez okres pobytu w Friedlandzie wszystkie rzeczy będą na was w pokoju Fabiana czekać - powiedziała.

Następnego dnia zabraliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i ruszyliśmy autostradą A7 na południe. Kilkanaście kilometrów za Getyngą zjechaliśmy z autostrady i pierwszą wioską okazał się Friedland. Była to wieś w której zbudowano duże osiedle dla przesiedleńców z krajów Europy Wschodniej. Na wieży

tutejszego kościoła zawieszono duży dzwon - dzwon Wolności, którym witano niemal każdą przyjeżdżającą grupę przesiedleńców. W miasteczku tym wzorowo zorganizowanym dla zagubionego człowieka, który w ciągu kilku dni, tygodni, załatwiał wszystko co potrzebne dla dalszej egzystencji w Niemczech. Iza oddała nas w ręce tutejszego personelu, pożegnała się i powróciła do Hamburga.

Przydzielono nam pokój z dwoma łózkami piętrowymi, małym stołem, krzeselkami i umywalką. Ubikacje i prysznice były w osobnych pomieszczeniach jak również i stołówka. Rano następnego dnia rozpoczęło się odwiedzanie jednego pokoju po drugim. Potem trzeci, czwarty, piaty ...już nie pamiętam ile. Każdy pokój mieścił w sobie jeden urząd. Dla obu stron było to szalenie wygodne i mało kłopotliwe. Kiedy zakończyliśmy wszystkie formalności z rejestracją i pobytem, poproszono mnie do pokoju, do który tylko wybrani są zapraszani, to służba bezpieczeństwa. Byli mną rozczarowani, bo nawet na to jedyne pytanie, aby opisać śmigłowiec MI-24 nie byłem w stanie odpowiedzieć a Mi-2 i AN-24 leżały po za sferą ich zainteresowań.

To był nasz ostatni dzień pobytu we Friedlandzie. Ludzie przyjeżdżali, wyjeżdżali i w zasadzie mile ten pobyt wspominali, tak jak i my. Po śniadaniu ostatniego dnia tutejszego pobytu, poszliśmy odebrać dowody osobiste i paszporty. Otrzymaliśmy je wyłącznie dzięki energii przekonywania mojej niezastąpionej Kuzynki. Nie oznaczało to posiadania obywatelstwa, ale przynależność do tej grupy językowej czyniła tutejszy pobyt przyjemnym i łatwym zrównując w wielu prawach z Niemcami. Na obywatelstwo czekało się minimum siedem lat. Oprócz prowiantu na drogę i wypłaconego zasiłku w ramach przesiedleńca, otrzymaliśmy bilet do Hamburga.

Pierwsze pytanie które postawiłem Izie było – Jak

doprowadziłaś do tego, że dostaliśmy dowody osobiste i paszporty?

Nie siedząc a biegnąc rzuciła od niechcienia – Jesteś moim kuzynem, czy nie ? Bawiliśmy się razem w piaskownicy, czy nie? Wiec przestań pytać! A jako uciekinier polityczny miał byś o wiele trudniej. I jeszcze jedno, Wojtek! Wasze dyplomy ukończenia studiów macie teraz uznane i chciałabym zapytać, a może chcieliście je nostryfikować ?

- Jak będzie trzeba ... zażartowałem. Ale dobrze zdawałem sobie sprawę, że Iza wyciągnęła z nich maksa. Mnie się to nie przyda bo ani geografem, ani pedagogiem tu nie będę. Moje licencje za wyjątkiem szybowcowej są tutaj nie uznawane tak wiec, czekają mnie wszystkie egzaminy do licencji zawodowej samolotowej i śmigłowcowej jak również do IFR, a to nie jest tak mało i do tego sporo kosztuje! Ale jestem bogaty, bo jestem wolny i nikt tu mi nie będzie nic zakazywał. W Polsce безпеka straszyla, że mi zabiorą licencje i właściwie to to osiągnęli, bo jej nie mam. Wiem, że czeka mnie nauka i praca na czarno, aby zarobić konieczne pieniądze. Dam radę i już! - zakończyłem przemówienie i zwróciłem się do kuzynki - Iza a teraz poważnie, chcemy podziękować za gościnność i nieskończoną pomoc, bo jesteście naprawdę kochani, jesteście cudowni ale powinniśmy was uwolnić od nas. We Friedlandzie zatroszczyli się o nas. To jest adres czekającego na nas mieszkania – i podałem Izie kartkę z adresem.

Pojechaliśmy, zobaczyliśmy, zostaliśmy! Dom niewielki, w ogrodzie stojący w kształcie prostopadłościanu, jednopiętrowy. Na parterze zarezerwowane dla nas mieszkanie było niewielkie. Jeden pokój z dwoma łózkami i łóżeczkiem dzieciennym, stół i krzesła pod oknem, łazienka, wnęka kuchenna i przedpokoik w którym była szafa ścienna. Mieszkanie to przypało do gustu Szeńkowi – To niczym nasza kawalerka którą mieliśmy na Wrzecionie – powiedziała.

Zupełnie inne zdanie miała Iza i niezadowolona z mojej decyzji oświadczyła – Tutaj długo nie będziecie mieszkać. Ja was zabiorę do prawdziwego mieszkania.

A nam było tam dobrze. Nie tylko dobrze, ale i tanio. Mogliśmy miesięcznie zaoszczędzić około pięćset marek, a na nasze dochody składały się Unterhaltsgeld (pieniądze na utrzymanie), który otrzymywała Szeniék i ja a do tego Kindergeld (zasilek dla dzieci) dla Fabiana. Z tych pieniędzy musieliśmy opłacić obowiązkowy kurs języka niemieckiego (niechodzenie groziło pozbawieniem pieniędzy na utrzymanie).

Z przyczyn od nas niezależnych rozpoczęcie kursu języka niemieckiego przesunięto o trzy miesiące. Te dodatkowe pieniądze ucieszyły mnie bardzo. Łączne koszty mieszkania wynosiły tylko sto dwadzieścia marek.

Zwolnieni z jakichkolwiek obowiązków mogliśmy wszyscy razem stawiać pierwsze kroki na obcej nam ziemi. Nie było to łatwe dla Szeńka, natomiast Fabian był maleńki. Jeżeli chodzi o język niemiecki to przyjęliśmy w stosunku do Fabiana następującą taktykę. Szeniék mówiła wyłącznie po polsku, ponieważ niemieckiego jeszcze nie znała, natomiast ja postanowiłem do trzeciego roku życia Fabiana mówić wyłącznie do niego po niemiecku.

Dodatkowym plusem naszego mieszkania był ogród oddzielony od ulicy, który był rajem dla dziecka.

Mając do dyspozycji nie co wolnego czasu, zastanawiałem się nad naszą przyszłością. Powróciły szczęśliwe dni spędzone w Anglii i Irlandii. Ciekawiło mnie co teraz robi Derry. Zadzwoiłem do niego i usłyszałem znajomy głos.

- Derry, musiałem opuścić Polskę i teraz jestem w Niemczech. Czekają mnie egzaminy na niemieckie licencje – powiedziałem. Ucieszeni rozmową pożegnaliśmy dawne wspomnienia.

W korytarzu naszego parteru znajdowało się drugie mieszkanie, w którym mieszkała matka z dwoma synami w wieku szkolnym. Bardzo szybko nawiązaliśmy z nimi kontakt, który rozrósł się do przyjaźni na całe życie. Lilka to mama tych dwóch chłopców. Mariusz starszy, od pierwszego momentu stał się moim ulubieńcem i wydawało mi się, że rozumiemy się tak dobrze, że czasami słowa nie były nam potrzebne. Jego młodszy brat Piotrek trzymał się jeszcze mamusi i nie zwracał takiej uwagi na obcych ludzi. Ojca tej rodziny nie poznaliśmy. Zamordowany został przez bezpiekę w Polsce. Stało się to, kiedy Lilka z dziećmi odwiedziła swoją matkę w Hamburgu, a po zabójstwie męża bała się powrócić do Wrocławia.

## **Walka o odzyskanie skrzydeł**

Najważniejszym dla mnie było teraz zgłoszenie w urzędzie pracy, który mieścił się w portowej części miasta. Właśnie tutaj dowiedziałem się o wszystkim co mnie czeka. W Niemczech uznano jedynie licencję szybowcową, a pozostałe licencje i uprawnienia będę musiał dopiero uzyskać. Nie zwolniono mnie nawet z jednego przedmiotu całego pakietu do CPL, HCPL i IFR. Przed takim losem usiłowałem się bronić tam, gdzie tylko nadarzyła się okazja ku temu. Przekonywałem - Polacy to urodzeni piloci, to wielokrotni mistrzowie świata a teraz sądzicie, że "latamy na plecach i do tyłu" – ale to nic nie pomagało.

Musiałem się wziąć do nauki a wiedziałem, że sam nie dam rady! Zacząłem szukać najtańszej szkoły lotniczej w Niemczech. Znalazłem i jak się okazało bardzo dobrą w Mönchengladbach o 425 km na południowy-zachód od Hamburga. Codzienny dojazd do szkoły "Maluchem 126p" raczej niemożliwy i dlatego musiałem poszukać miejsca, które

zwolniłoby mnie z codziennych jazd. Dołączyłem do grupy młodzieży studenckiej zamieszkującej cały niewielki domek, prawdziwa komuna! Wtopienie się w problemy tak licznej i odmiennej grupy, nie było łatwe. Znalezienie przyjaznej duszy wyprostowało wszystkie zakręty egzystencji, było mi tam dobrze a każdy dzień otwierał stronicę życia dla mnie nieznanego. Tak minął trzymiesięczny okres nauki, aż stanęły przede mną widma egzaminów.

Jednak teraz czekał na mnie najważniejszy problem do rozwiązania – pieniądze na pokrycie egzaminów praktycznych.

Iza nie zapomniała o nas zapraszając często do siebie i przy każdej okazji przekonywała o konieczności zmiany mieszkania. Oczywiście nie była zorientowana o czekających nas wydatkach i kierowała się sercem.

Któregoś dnia bez uprzedzenia przyjechała do nas i jak zawsze kipiąca energią posadziła nas w swoim samochodzie i dopiero podczas jazdy powiedziała - Teraz zobaczycie dwa mieszkania i jedno z nich musicie wybrać. Oba mieszkania niedaleko lotniska Fuhlsbüttel. Musicie koniecznie wybrać jedno z tych mieszkań, bo tak jak do tej pory być nie może!

Pierwsze mieszkanie jak to mieszkanie. Pojechaliśmy oglądać to drugie w ładnym osiedlu z bogatą zielenią, placami zabaw dla dzieci, na skraju ptasiego rezerwatu. Na pierwszym pięttrze z dużą loggią, trzy i pół pokoju, kuchnia, łazienka, piwnica. Po prostu wszystko co potrzebne do wygodnego życia. Decyzja zapadła niemal natychmiast, kiedy przez okno dużego pokoju zobaczyłem samolot schodzący do lądowania. Bez silników? Tak było cicho! Ucieszona Iza pogratulowała nam wyboru i jak to ona patrzyła już do przodu. - Teraz zajmujemy się umeblowaniem waszego mieszkania, ale na dzisiaj wystarczy. Nie martwcie się niczym ja zajmę się tymi sprawami.

Mieszkanie podobało nam się ale jak pomyślałem, że oznacza

ono wyrzucenie trzystu marek dodatkowo to serce mnie zabolalo.

Nie kupiliśmy ani jednego mebla a za czarodziejską różdżką Izy po trzech dniach mieszkanie było umeblowane, a jedyny wydatek to kolacja z podziękowaniami za wszystko co nam dała. Podobnej sytuacji nie miałem nigdy więcej. Jak tu nie kochać takiej istoty! Taka była Iza.

Mieszkaliśmy w dzielnicy Hamburga zwanej Poppenbütel przy ulicy Ruscheweistraße 15. Mieliliśmy umeblowane mieszkanie, otrzymaliśmy pomoc wystarczającą na prowadzenie domu na poziomie nam odpowiadającym.

Nie tylko wybrane mieszkanie przypadło nam do gustu ale i to, że sąsiadów mieliśmy naprawdę wyjątkowych. Na parterze pod nami rodzina Kön z dwoma synkami, starszym Matijaszem i młodszym Markusem rówieśnikiem Fabiana i najlepszym przyjacielem okresu dziecięcych zabaw. Nad nami rodzice Dany, Sonia i Gerhard Walter. Ta rodzina to byli mieszkańcy NRD, którzy nie potrafili się pogodzić z podziałem ojczyzny.

Z wykształcenia inżynier postanowił uciec na zachód. W tym celu zbudował na Trabancie platformę z rozkładanym na dachu namiotem. Do namiotu musiano wchodzić po drabinie. Również pozostałe elementy konstrukcji namiotu spełniały drugą ukrytą funkcję kolejnej części drabiny. Te obie części pozwalały na przejście przez wysoki płot oddzielający granice Bułgarii od Jugosławii. Ucieczka była przygotowywana wielokrotnymi wyjazdami do Bułgarii. Potem po wejściu i zejściu z drabiny pozostało zgłosić się w Ambasadzie RFN w Belgradzie. Wystawienie paszportów niemieckich na podstawie dokumentów NRD to formalność. Zamieszkali w Hamburgu i tu poznaliśmy się.

Dana, Markus i Fabian to trójka budrysów z naszej klatki. Bawili się razem, razem wzrastali.

Helmut Kōn prowadził filiale Banku Sparkasse. Zaprzyjaźniliśmy się na bardzo krótko, bo do końca życia, co jest jeszcze za krótko. Helmut jest dla mnie typowym Hamburgczykiem. Ogorzałe od wiatru i fal serce nie do złamania, ale o sercu łagodnym i ze szczerego złota. To był i jest Helmut.

I właśnie wtedy wydarzyło się coś okropnego, w co nie mogłem uwierzyć. To było straszne! Mój maleńki synek, zawsze uśmiechnięty, pogodny i poważny jak na swój wiek, doznał bólu jaki przerasta człowieka dorosłego.

Był pogodny dzień. Mieliśmy zjeść śniadanie, ja siedziałem przy stole plecami zwrócony do kuchni. Szeniek przygotowywała śniadanie, a Fabian biegał swobodnie po mieszkaniu. Nie widziałem co działo się za moimi plecami, kiedy usłyszałem potworny krzyk Fabiana. Zerwałem się z krzesła i zobaczyłem dziecko trzymające w rączkach duży kubek z gotującym mlekiem, które wylał na siebie. Złapałem Fabiana i pobiegłem do łazienki. Trzymając go w rękę polewałem zimną wodą poparzoną twarz. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nie tylko twarz została oblana mlekiem. Dla mnie istniało tylko jedno – Musze uratować twarz Fabiana!

Dopiero kiedy byłem przekonany, że udało mi się, zdjąłem z Fabiana sweterek z golfem i zobaczyłem poparzoną szyjkę, piersi i rączkę. Dalej polewałem wodą, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że popełniłem ogromny błąd, że powinienem wpierv Fabiana rozebrać. Fabian płakał! Strasznie płakał Fabian! Wiedziałem, że więcej nie mogę pomóc, krzyknąłem - Jedziemy do szpitala!

Minutę później gnaliśmy na długich światłach, z klaksonem do szpitala. Kiedy oddałem Fabiana w ręce ludzi na biało ubranych, chciałem krzyknąć jak śmiertelnie zranione zwierze! – Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?



I nie miałem odpowiedzi. To był ból który mnie pokonał, który przerastał wszystko, przerastał moje życie. Cóż zawiniła ta małeńka istotka!

Lekarze robili wszystko, żeby uratować Fabiana. Szok pooparzeniowy zatrzymał prace nerek. Moje życie zmieniło się zupełnie i tamte dni już nigdy nie powróciły. Przez cały czas byliśmy przy Fabianie, nie opuszczaliśmy go na krok. Patrzyłem na te smutne oczka i szukałem zagubionej radości. Nie umiałem się dopasować, ale też nie mogłem protestować przeciwko temu co się stało. Dnie i noce spędzaliśmy przy łóżeczku. To była pierwsza nadzieja kiedy nieczki zaczęły pracować.

Fabianek cierpiał okropnie, a kiedy siostra go kąpała aby zmiękczyć zniszczone komórki i oczyścić ranę, wszedł lekarz do pokoju. Młody lekarz którego nigdy przedtem nie widziałem. Zapytał pielęgniarkę – Będzie pani oczyszczała ranę? - i w tym momencie wziął pęsetę do ręki i wąski koniec skierował do rany .

Ja wykrzyknąłem – Tak nie wolno! Dziecko się rusza bo go bardzo boli! Może pan go skaleczyć! Trzeba płasko trzymać pincetę, aby nie skaleczyć!

A ten młody zadufany w sobie lekarz powiedział – Nie będzie pan mnie uczył!

Skierował pincetę do rany Fabianka, który w tym momencie poruszył się, a pinceta trzymana przez lekarza skaleczyła go. Sama kąpiel to okropny ból, a tutaj jeszcze to skaleczenie. Zobaczyłem krew i niczym dzikie zwierze złapałem za kołnierz tego głowę wyższego od mnie potwora. Biegłem do drzwi i wyrzuciłem go na korytarz krzycząc na cały głos – Więcej nie chcę cię widzieć! - i zamknąłem drzwi.

Więcej go nie zobaczyłem. Trudne to były dni dla nas wszystkich, a najtrudniejsze dla Fabianka, takiego małeńkiego,

niewinnego a strasznie cierpiącego.

Powróciliśmy do domu a rany Fabiana goiły się bardzo powoli i dużo czasu potrzebowały. Najgorsze też to, że rany te w szybciej Fabiana tysiąc razy wolniej się goiły. To było najokropniejsze w moim życiu i wymazać, nikt i nic tego nie może, a kochałem to maleństwo ponad życie.

Wszystkie dni które potem nastąpiły to już nie te dni wesolutkiego, beztroskiego chłopczyka, a ja tego bólu nie mogłem mu wynagrodzić. Kocham go jeszcze bardziej i jest dla mnie wszystkim.

Szeniek opiekowała się Fabianem tak jak najlepsza matka, a serce bolało ją tak samo jak moje.

Zaczęliśmy uczęszczać na kurs języka i maleńkiego Fabianka zostawiać w żłobku. Fabian bardzo płakał. Nie chciał tam zostawać.

Warunkiem otrzymania zasiłku było uczestnictwo w zajęciach nauki języka niemieckiego. Szeniek uczęszczała regularnie a ja?

I tu pojawił się problem i to nie jeden. W mojej grupie, dla tych najbardziej zaawansowanych 90% uczestników to były osoby ponad sześćdziesięcioletnie ze znajomością gwarowego języka niemieckiego a do tego przekonane, że nie muszą się uczyć bo i tak wszystko umieją. To skutecznie obniżało poziom nauczania w naszej grupie, bo oni blokowali postępy w nauce. Wobec tego czas tracony na “naukę” postanowiłem przeznaczyć na pracę zarobkową. Urywałem się z lekcji. Musiałem znaleźć płatne zajęcie, bo pośrednictwo pracy dla pilotów mieszczące się we Frankfurcie nad Menem, pomaga pilotom, ale nie kandydatom na takowych. Pozostawała mi tylko praca na “czarno”. Tym sposobem największa stocznia w Hamburgu, Blumm&Voss, wzbogaciła się o jednego niewykwalifikowanego pracownika. Przydzielono mnie do

bardzo precyzyjnej pracy, szlifowania zaworów silnika. To była praca dla automatu ale nie dla człowieka, bo siedzieć w jednym miejscu i poruszać jedną ręką raz w lewo raz w prawo, było dla mnie nie do zaakceptowania. Pod pokładem statku oprócz mnie pracowali jugosłowianie, którzy przez cały dzień kłócili się i dokuczali niemieckiemu pracownikowi, który całą dniówkę spędzał na leżeniu i opróżnianiu butelek piwa. Nie dziwiło mnie to, bo schowany w zakamarku ogromnego statku był nie do wykrycia jak również stwierdzenia braku wykonania przez niego pracy.

Język niemiecki miałem opanowany, natomiast brakowało mi słownictwa specjalistycznego z zakresu lotnictwa tak w języku niemieckim jak i angielskim co było koniecznym, aby chociaż pomarzyć o licencji. Musiałem mieć więcej czasu na naukę, a w stoczni nie mogłem pozwolić sobie na najmniejszą przerwę w pracy.

Znalazłem lepsze zajęcie w którym miałem więcej czasu do nauki.

Zostałem osobistym kierowcą przedstawiciela handlowego wielu firm produkujących wyposażenia szpitali, sanatoriów itp. Do dyspozycji miałem dwa samochody. Na krótsze trasy śliczny zielony Garbus – Cabrio na kołach 225 albo i szerszych- nie wiem. Natomiast na dalsze, piękny sportowy Mercedes 500SEL koloru srebrnego z dwoma siedzeniami i ławeczką z tyłu. Pracę tą wykonywałem chętnie. Po dotarciu na miejsce miałem czas na naukę. Siedząc w samochodzie czekałem na powrót szefa i uczyłem się. Bywało różnie od pół godziny do dwóch, czasami czterech a nawet pięciu godzin. Potem wracaliśmy do Hamburga.

Pamiętam nocny powrót do domu w szalejącej śnieżycy. Jechałem na autostradzie utrzymując prędkość 180 km/h przez większość trasy przy widzialności 30-50m, bo mój szef Grinsberg musiał być w Hamburgu o wyznaczonej godzinie.

Dzisiaj jechałbym nie prędzej jak 30-40 km/h i doradzam tym najmłodszym, aby skorzystali z mojego doświadczenia.

Innym razem jechaliśmy w pochmurny dzień po froncie chłodnym. Co jakiś czas strugami deszcz umywał nam szyby. Tym razem Grinsberg nie śpieszył się do domu a pora obiadowa nakłoniła do odwiedzenia restauracji greckiej, która znajdowała się na Autohoff (wszystko dla kierowcy w pobliżu autostrady). Nie protestowałem i z przyjemnością czekaliśmy na przyjście kelnera. No i jak to u nich w zwyczaju, na początek poczęstowali kieliszkiem Uzo. Grinsberg wychylił szybko kieliszek i poprosił o kolejny. Nie chciałem wypić swojego Uzo i przesunąłem go mojemu szefowi. Uśmiechnął się i wypił. Do podanego jedzenia poprosił o butelkę jakiegoś trunku i pił dalej. To było dla mnie niezrozumiałe i nigdy dotąd się nie wydarzyło. Po tak sporej ilości alkoholu stał się głośnym klientem i poprosiłem kelnera aby mi pomógł odprowadzić go do samochodu. Płacąc za nasz posiłek wyciągnął plik pieniędzy i rzucił na stół. Zebrałem banknoty i zapłaciłem kelnerowi. Resztę pieniędzy włożyłem do jego kieszeni. Doszliśmy do samochodu i podziękowałem kelnerowi za pomoc. Otworzyłem samochód i chciałem żeby wsiadł, jednak on miał odmienne plany. Wyrwał się i pobiegł polami tak, że nie miałem odwagi za nim biec i zostawić otwarty samochód. To był dla mnie szok. Nie wiedziałem co mam robić. Wróciłem do restauracji i zadzwoniłem do Hamburga do jego żony. Zapytałem co mam robić – Nic – odpowiedziała – Niech pan przyjeżdża do domu. Mąż jest chory i znajduje się w procesie odwyku alkoholowego. Nie powinien pić. Nic nie zrobimy, on sam wróci, ale nie wiem kiedy. Tym dziwnym zdarzeniem zakończyłem pracę prywatnego kierowcy. Szczęściem moim były zarobione pieniądze, które jeszcze nie wystarczyły na pokrycie kosztów potrzebnych dla uzyskania licencji, dlatego też prowadziłem agencje ubezpieczeniową Zurich.

Poznałem też Adolfa Wagnera, przyjaciela Helmuta, który razem z małżonką zaproponowali abyśmy przejęli opiekę nad Polakami mieszkającymi w baraku, spełniającym rolę obozu przejściowego dla uciekinierów z Polski, który znajdował się w sąsiedniej dzielnicy. Z Adolfem i jego żoną Rose, w wolnym czasie opiekowałem się Polakami, zagubionymi w otaczającym ich świecie. Byłem tłumaczem przede wszystkim, nie tylko pism urzędowych, które otrzymywali, ale też starałem się im ukazać zakamarki tutejszego życia codziennego. Również w kwestiach ubezpieczeń, co nie było im znane, prowadziłem niemal szkolenie i ostrzegałem przed przyjmowaniem i podpisywaniem czegokolwiek.

Organizowaliśmy imprezy na terenie przyległym do baraku zapraszając okolicznych mieszkańców dla ułatwienia integracji. Efektem tych imprez to niejednokrotna pomoc ze strony hamburczyków w postaci pracy, mieszkania i opieki nad nimi. Doszło do tego, że żadna rodzina nie pozostała bez prowadzącej ręki hamburczyków. W owym czasie udało mi się wiele polskich rodzin umieścić w mieszkaniach i załatwić im prace. W miejscowym urzędzie kwaterunkowym musiałem dać się poznać jako zdecydowany obrońca tych zagubionych obcokrajowców. Doszło do tego, że moim głośnym zachowaniem w urzędzie chciałem wywrzeć nacisk w przydziale mieszkań dla Polaków. Dziwna obojętność była odpowiedzią na moje prośby i wtedy przypominałem im o okropnościach II wojny światowej i o niespłaconym długu za wyrządzone krzywdy. Zaczęto mnie uspakajać zapewniając, że wszystko jest do załatwienia. Następne wizyty wyprzedzały moje prośby i urzędnicy sami mówili – Panie Dąbrowski mamy dla pana mieszkanie! Tym sposobem udało mi się wiele rodzin wyprowadzić z baraku zapewniając im godne życie. Pomagałem też pilotom, którzy znaleźli się poza Polską. Policja hamburska już na tyle mnie poznała, że informowała mnie o ucieczkach na zachód pilotów z Polski. Policja

korzystała również z mojej pomocy jako tłumacza. Niezależnie od krajów w których lądowali, mogłem z nimi rozmawiać, pomagać i kierować radą w wyborze kraju docelowego, do Niemiec czy Australii, Niemiec czy Stanów. Wydawało mi się, że i taka pomoc może być potrzebna. Sama rozmowa telefoniczna w dużym stopniu łagodziła aktualną sytuację w której się znajdowali, no bo jest ktoś kto się nimi interesuje, ktoś kto chce im pomóc, a do tego pilot z Polski.

Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, że pozostanę w Niemczech i że właśnie tutaj ułożę sobie życie. W Konsulacie Australijskim czekało na decyzję moje podanie o emigrację. Życie w Hamburgu zaczęło przybierać barwy i czułem, że jestem tutaj potrzebny, że mogę pomóc wielu Polakom na obczyźnie. Sam fakt swobodnego władania ich językiem otwierał dla innych zamknięte drzwi. Ale nie zawsze tak było bo życie na obczyźnie nie jest łatwe i nigdy nie wiesz, kiedy zostaniesz ukłuty w samo serce. Pamiętam jak w słoneczną niedzielę, pojechaliśmy wszyscy razem zatankować mojego DAF. Na stacji stał jeden samochód a siwy mężczyzna zajęty był tankowaniem. Rozmawialiśmy z żoną po polsku i bez żadnej przyczyny usłyszałem z ust tego człowieka „Du Schweine Pole!“ Do dzisiaj nie mogę tego zapomnieć.

Czas mijał. Nadal opiekowałem się Polakami, a w odpowiedzi na wydarzenia w Polsce, na stan wojenny zbieraliśmy pieniądze, odzież i wszystko co było potrzebne dla Polaków w Ojczyźnie. Adolf i jego żona to przykład bezgranicznej pomocy dla obcego im narodu. Na ulicach w każdy weekend zbieraliśmy paczki dla pomocy Polsce i tak polskie flagi zdobiły ulice Hamburga. W akcjach tych brał czynny udział Fabianek. Przygotowaliśmy transport do Polski z pomocą. Sto dwadzieścia ciężarówek to zasługa Adolfa i Rose. Dlaczego nikt nie pamięta? Dlaczego nikt w Polsce nie pamięta, że ludzie ci pomagali Polakom jak własnym braciom. Rozdajemy medale, ordery a dlaczego nikt o nich nie pamięta?

Powstała Solidarność w Polsce, wielki ruch całego Narodu. Układano krzyże na chodnikach w miastach polskich i my tu w Hamburgu układaliśmy te same krzyże z kwiatów. Ludzie klękali. Sprzedawaliśmy własne materiały w obronie Solidarności, w obronie Wałęsy. Własne i materiały przygotowane przez młodzieżowe organizacje CDU, materiały pochodzące z Francji, plakaty i broszury. Wszystko w obronie Solidarności.

Aktywne życie w Hamburgu przyciągało do mnie coraz więcej młodych Polaków, którzy byli głodni działania, ale nie było tego jądra, które by ich motywowało i razem trzymało. Zaczęła działać Solidarność Hamburgska, której byłem założycielem a potem doradcą. Odpowiedzią na internowania w Polsce Solidarność Hamburgska razem z Roter Ring postanowiliśmy zorganizować demonstrację w ich obronie. Istniejący zakaz demonstracji przed Radzieckim Konsulatem w Hamburgu zmusił nas do szukania innej drogi. W dyskusji nad formą demonstracji i przełamania istniejących zakazów postanowiliśmy zbudować trzy duże pływające krzyże ozdobione lampkami i kwiatami. Wezwać do udziału w manifestacji wszystkich Hamburgczyków posiadających jachty, łódki, żaglówki, kajaki, rowery wodne do udziału w nocnej demonstracji na wodzie. A w Hamburgu jest tego dużo. Każda pływająca jednostka otrzymała duży portret Wałęsy albo napis Solidarność i zapaloną pochodnię. Krzyże rozmieściliśmy w trzech punktach Binnenalster, pierwszy krzyż na wysokości Hotelu Kempinski, drugi bezpośrednio przy Jungfernstieg a trzeci na wysokości Hotelu Vierjahreszeiten. Zapalone pochodnie i znicze trzech krzyży zabarwiły całą Binnenalster. O wyznaczonej godzinie ruszyły krzyże na spotkanie na środku jeziora, a mozaika portretów i napisów pokryła taflę wody w centrum Hamburga. Trzy krzyże ozdobione kwiatami i lampkami, holowane przez łódki w asyście tysięcy jednostek w drodze do Konsulatu Radzieckiego. Cała Binnenalster płonęła

ogniem pochodni z dominującymi na wodzie krzyżami, które zmuszały każdego przechodnia do mimowolnego udziału w tej jedynej w swoim rodzaju demonstracji o Wolność dla Wałęsy o prawo istnienia dla Solidarności!



*Demonstracja w obronie Solidarności i Lecha Wałęsy*

Demonstracja ta była zarazem ukoronowaniem mojej pracy dla Polski a jednocześnie odejściem z Hamburgskiej Solidarności. Przez dwa lata opiekowałem się Polakami, których zjednoczyłem w utworzonej Solidarności. Teraz musiałem zostawić ich samych, bo czekające mnie egzaminy, a potem praca pilota nie pozostawiały wolnej chwili na działalność polityczną i społeczną.

### **Egzaminy do niemieckich licencji**

Pierwsze egzaminy do licencji zawodowej (CPL-1) odbyły się w budynku Luftfahrtbundesamt (niemieckie władze lotnicze) mieszczącym się przy lotnisku w Braunschweig. Z Hamburga



wyjechałem o czwartej rano i pomimo niedużej prędkości mojego Malucha, zdążyłem zobaczyć cały budynek i lotnisko, by o ósmej dołączyć do dużej grupy podobnych nieszczęśników. Mój stolik pośrodku sali, przy środkowym przejściu, był miejscem spacerów egzaminatorów. Uznałem go za odległy od optymalnego.

W jednej sali jednocześnie, odbywały się egzaminy na różne licencje w niemal bezwzględnej ciszy. W moim przypadku, uzyskanie licencji zawodowej pilota, wymagało zdania z siedemnastu przedmiotów w określonym czasie, łącznie wynoszącym 11 godzin i 45 minut.

Uprawnienie do lotów IFR, z dwunastu przedmiotów w 8 godz. i 45 minut. Na koniec jeszcze CPLH czyli licencja śmigłowcowa, z siedemnastu przedmiotów w 12 godz. 50 minut. Pytania były ujęte w postaci testów z możliwością zakreslenia prawidłowej odpowiedzi, opisu lub wyliczenia. Przedmioty „bogate” tematem z dużą ilością pytań, były łatwe do zdania jako, że ilość punktów rozkładała się na wiele pytań. Natomiast „skromne” przedmioty z mniejszą ilością pytań były trudniejsze do przeskoczenia, tu liczył się każdy błąd. Każdy przedmiot zostaje zaliczony jeżeli poprawne odpowiedzi wynoszą minimum siedemdziesiąt pięć procent. Wartość procentowa niższa oznacza powtórzenie przedmiotu. Również ilość zdanych przedmiotów musiała wynosić minimum siedemdziesiąt pięć procent, by móc jedynie poprawiać pozostałych dwadzieścia pięć procent, w innym przypadku trzeba zdawać wszystkie po raz kolejny.

Do każdej licencji jak i do IFR podchodziłem trzykrotnie. I tak dla przykładu przy CPL w pierwszym podejściu zaliczyłem dwanaście przedmiotów, w drugim z pięciu zdałem trzy a pozostałe dwa przedmioty przypadły na trzecie podejście. Podobnie było przy egzaminach na uprawnienie do IFR i do HCPL. Jako jedyny „nienasycony” pojawiałem się

dziewięciokrotnie, przez co niemal wszyscy egzaminatorzy, jak i pracownicy tej instytucji znali mnie doskonale i szczerze współczuli. A kiedy zdawałem trudny egzamin z Aerodynamiki, już po raz drugi, zatrzymał się przy mnie egzaminator i pokazał palcem dwie odpowiedzi – u mnie źle zakreślone. Popatrzyłem na niego i pokręciłem głową – nie. Nie zmieniłem żadnej z dwóch „błędnych” odpowiedzi, a po sprawdzeniu testu z Aerodynamiki okazało się, że uzyskałem STO procent.

Jednak miłym było czuć sympatie ze strony tak groźnych skądinąd pracowników tej instytucji. Potem okazało się, że byłem jedynym obcokrajowcem, który miał odwagę pokonać te przeszkody.

Miłym zaskoczeniem było otrzymanie pozytywnej odpowiedzi z Konsulatu Australijskiego - Możemy emigrować! Przerwać egzaminy i rozpocząć nowe życie to obciążenie ponad moje siły! Zrezygnowałem z wyjazdu prosząc o przesunięcie terminu. Rozpoczęte egzaminy musiałem dokończyć, nie chciałem zagubić się w nieznanej próżni! Podobna sytuacja powtórzyła się jeszcze dwukrotnie. Na domiar złego nadeszła wiadomość od Derrego - ”Kupiłem samolot. Umeblowane mieszkanie czeka na Ciebie. Przyjeżdżaj natychmiast! Derry”. I co tu robić? W Anglii jak i w Australii prawdopodobnie musiałbym zdać jedynie egzamin z przepisów lotniczych. Zdecydował ogromny wkład pracy i pierwsze zdane egzaminy. Ponad to decydującym była odmowa wizy do Wielkiej Brytanii!

Teraz czekało mnie to najtrudniejsze a zarazem najdroższe, na które musiałem, jako siła niewykwalifikowana zarobić. Poznawszy teorie z zakresu IFR -u włosy stanęły mi na głowie z faktu dotychczasowej niewiedzy albo zerowej wartości kursu na Krakowskim Przedmieściu. Dotyczyło to całego zakresu uprawnień.

Wiedziałem, że egzamin praktyczny do obu licencji zawodowych zdam raczej bez problemów, natomiast w przypadku IFR nie miałem żadnych szans!! To czego nauczyłem się podczas szkolenia do lotów według przyrządów w Polsce nie upoważniało mnie do niczego. Nie umiałem nic i to był dla mnie prawdziwy szok. Po zdaniu części teoretycznej uświadomiłem sobie całą prawdę o moim lataniu IFR w Polsce, o tym dziwnym tańcu nad i pod chmurami, w dzień słoneczny i we mgle. Elastyczność kontrolerów lotu w Polsce i duża odległość od pulsujących ruchem lotniczym obszarów, dopuszczała na takie ekscesy.

Nie wiem jak potoczyły by się sprawy, gdyby nie zawarte znajomości w Szkole lotniczej w Mönchengladbach, bo one ratowały mnie w bardzo wielu sytuacjach. Dzięki nim mogłem wylatać w symulatorze Szkoły Lotniczej w Hanowerze, jak mnie podliczyli gospodarze, czterysta godzin! Nie była to prawda, ale mogłem latać w symulatorze, zawsze kiedy tylko był wolny. Przez trzy miesiące latałem w najtrudniejszych warunkach meteo a najmniejszy błąd był zapisywany, przeanalizowany i wyszlifowany. Po takiej dawce symulatorowego latania mogłem stawić czoło każdemu egzaminatorowi.

Największym problemem w powietrzu były pamięciowe obliczenia w języku niemieckim, a to z powodu odwrotnego czytania cyfr ( $79=9+70$ ). Podczas mojego, faktycznie pierwszego zapoznawczego lotu IFR, potwierdziły się wszystkie wymarzone o nim zalety. Lot ten, jedyny przed egzaminem, przebiegał w całkowitym odprężeniu z potwierdzeniem bezpieczeństwa latania wg takich właśnie przepisów.

Zupełnie odmienne doznania czekały mnie u Clausa Wasserthala w Hamburgu. Z nim latałem na Bell 206B Jet Ranger i z nim wylatałem licencje pilota śmigłowcowego. Dni

ciężkiej pracy należały do bardzo miłych. Wassertahl chciał abym poleciał z nim na pierwszą niemiecką wyprawę na Antarktydę; niestety biurokraci nie wydali mi na czas licencji i Claus odleciał beze mnie.

Egzaminator śmigłowcowy Boelte, który dużo mnie nauczył stał się moim serdecznym przyjacielem i wiele godzin spędziliśmy razem, tak w śmigłowcu jak i w samolocie. Był prawdziwym Hamburgczykiem - wiadomo!

Nadszedł czas podjęcia decyzji – tej najważniejszej – gdzie pozostaniemy? Do Anglii nie otrzymałem wizey. W Konsulacie Australijskim odmówiono mi kolejnej wizey na wyjazd - Pilotów już nie potrzebujemy! Pozostało mi budowanie przyszłości w Niemczech.

## **Pierwsze loty**

Nie pamiętam jak trafiłem na fotografa, właściciela śmigłowca Bell- 47. Śmigłowiec stał niedaleko Hanoweru a właściciel chciał go mieć w Hamburgu. To był dwuosobowy śmigłowiec a Mariusz Kosacki, który zaraził się bakcylem latania zgodził się natychmiast by towarzyszyć mi w tym locie. Do śmigłowca dostaliśmy się korzystając ze studenckiej metody włączęgi - autostopem. Razem usiedliśmy przy śmigłowcu, którego nie miałem okazji kiedykolwiek oglądać z bliska. Wzięliśmy instrukcje użytkowania do ręki, którą przeczytaliśmy wielokrotnie. Na koniec przepytał mnie Mariusz, tak aby uspokojony mógł ze mną polecieć. Uczeń i instruktor-uczeń, oboje trzymaliśmy za drążek i dźwignię skoku mocy. Mariusz miał wyczuwać moje ruchy. Delikatnie podnosiłem dźwignię skoku i mocy do zawisu na wysokości centymetrów obserwując nieprzerwanie obroty wirnika. Takich zawisów i lądowań wykonaliśmy kilka aż do momentu opanowania tego elementu lotu.

- Mariusz, lecimy. Co ty na to ?- zapytałem, a Mariusz potwierdził – Lecimy. No, przecież umiesz już!

A ja, ja kochałem tego chłopaka jak własnego syna, a on Ignął do mnie jak do ojca którego mu odebrano.

Cały lot do Hamburga, przy widzialności bez granic, to niczym bukiet kwiatów przy ustach kobiety. Rozkosz! Wiele historii słyszałem o tym śmigłowcu, o niewyczerpalnej energii wirnika, o pełnej autorotacji nie do prześcignięcia. Nie miałem doświadczenia, aby coś takiego zaryzykować. Śmigłowiec ten pozostał nadal w moich marzeniach. Nie przyjąłem propozycji pracy bo uprzedził go mój egzaminator hamburczyk Bölte , wspominając o kupnie samolotu przez jego przyjaciela mieszkającego w Bremerhafen.

## **Erwin Kronschnabel i niezapomniany lot na Norderney**

Przez moment nie wątpiłem w otrzymanie wspomnianej pracy w firmie Kronschnabel, bo wierzyłem w szczerść jego słów. Szybciej niż się spodziewałem praca stała się faktem. Miałem się spotkać z moim byłym egzaminatorem Bölte na lotnisku Fuhlsbüttel. Zaprowadził mnie do Cessny 404 D-ICRG i powiedział, kiedy wsiałem do samolotu.

- Mam upoważnienie właściciela tego samolotu, Erwina Kronschnabela, na powitanie pilota tej firmy.- Samolot okazał się za mały na pomieszczenie radości, która była podsumowaniem kilkuletniej pracy w dążeniu do przedłużenia polskich licencji na niemieckiej ziemi. Siadając na lewym fotelu, a Bölte zaś na prawym jako mój instruktor, spojrzałem na wyposażenie tego samolotu i mimo woli przypomniła mi się biedna Morawa. Bölte powiedział.

- Ten lot do Bremen potraktujemy jako wpis typu do licencji.

Poznałem kolejnego niezapomnianego człowieka Erwina Kronschnabel. Erwin pozostał dla mnie wzorem człowieka, którego naśladowanie może być tylko zaszczytem. Latałem z jego pracownikami do różnych krajów i latałem tylko z Erwinem. Nie wiem czy uwierzycie, ale kiedy po dwudziestu latach zadzwoniłem do niego, powiedział mi – Przyjeżdżaj, kupiłem nowy samolot.

Moja praca, to ciąg niewiadomych. Każdy lot dźwiga w sobie emocje poznawania. Ta dziwność i niecodziennność wiąże nas wszystkich.

Właśnie jestem w Norwegii. Chciałem zobaczyć elektrownie atomową. Nie wpuszczono mnie, a możliwość przyglądania się pracy naszych specjalistów przy spawaniu pod wodą, jest raczej trudne. Pracują od rana, mieli być gotowi w południe. Samolot przygotowałem do lotu. Start na pierwszą. Mieliliśmy wracać jak najszybciej, ale nie wystartowaliśmy ani o pierwszej, ani o drugiej, ani o innej dziennej godzinie.

Już ciemno. Spałem w samolocie dwie, może trzy godziny a ich jeszcze nie ma. Plan lotu ENCN – EDDH już dawno stał się nieaktualny. Na wieży też już nikogo nie ma, a zawiadowca lotniska prosił na odchodne, abym sam się obsłużył. Wszystko zostawiają pod moją opieką.

Na tym małym lotnisku – Kristiansand już jest zupełnie ciemno, a czekanie przez ten cały bezsensowny dzień, zmęczyło mnie potwornie. Obojętność potrafi zaważnąć także zmęczeniem. Nie reagujesz normalnie, nie reagujesz w ogóle. Noc oddaliła mnie od wypełniania funkcji czekania. W końcu silne światła wdarły się zupełnie nieoczekiwanie oknami samolotu. To moi pasażerowie. Widoczne z daleka, oznaczały upragniony start. Nie byłem w nastroju do rozmów i o nic nie pytałem. Chciałem po prostu wracać. Wsiadłem ostatni, zamknąłem drzwi i tylko rzuciłem - Barek jest pełny, więc się częstujcie. Jest wszystko, co lubicie. Lecimy do Hamburga,

tam was odbiorą.

Jest wcześniej, za wcześniej by być wyspanym. Pasażerów zmęczonych całonocną pracą ukołyszę lotem, aby odpoczęli. Słońce jeszcze się nie pokazało, a zimny świt nie pomagał rozgrzać zmarzniętych silników. Dla własnego spokoju sprawdzam wieże na 119,90 mówiąc- Tower, D-ICRG good morning (wieża ,dzień dobry).

Nie było żadnej odpowiedzi, ale zapaliło się oświetlenie pasa. Teraz, to jest zupełnie inny widok tego niepozornego i sądzić by można, opuszczonego lotniska.

Kołuje na start, teraz before T/O(sprawdzenie przed startem) i na pas. Spojrzenie do przodu na horyzont. Rysuje się na swoim miejscu, jeszcze sztuczny i zgłaszam

-D-ICRG is ready to go; full throttle for sea level (2700 RPM).(gotów do startu)- i słyszę -„D-ICRG airborne. Oslo Radar, D-ICRG after take off at 045 from ENCN” ( po starcie , za 15 pierwsza).

-„Roger D-ICRG and squawk 6522”( zrozumiałem, ustawienie transpondera na 6522).

Teraz jeszcze składam przez radio plan lotu do Hamburga i możemy spokojnie patrzeć na budzące się słońce.

Bremerhaven, Hamburg, Lizbona, Nicea – tak nazwy miast układają się w życiorys. Z każdym łączy się przeżycie, wspomnienie, tęsknota za utraconym, ale i za nowym.

Jestem już w domu, w Hamburgu, a moi pasażerowie, zmęczeni poprzednią pracą, porwani ku następnym z domem rozstaniom. Wzburzone morza nie zapomną o nich i zawsze znajdą to, co za innych trzeba naprawiać.

Kolejne dni, to Rotterdam, Göteborg, Rotterdam i Ganderkesee. W tym wielokacie toczą się rozmowy związane z kolejnymi pracami naszej firmy – E.Kronschnabel & Co KG,

która wszystkie problemy z transportem jest w stanie rozwiązać, podnieść zatopiony statek z dna, obrócić leżącego na boku pechowca, przyspawać coś pod wodą, holować przez ocean itd. itd. Ludzie są tam naprawdę cudowni – z szefem włącznie.

Moje narzekania na naszą Cessne 404 przybierają wreszcie konkretne wymiary. Dzisiaj lecę do Ganderkesee, gdzie spotykamy się z szefem Atlas Air Service. Zamiana naszej D-ICRG na Conquest 425 jest w zasięgu ręki. Zobaczymy.

Jednak zanim to nastąpi, lecimy do Rotterdamu z obecnym tu właścicielem tejże Conguest 425. Przyznaję, że wołał bym polecieć w przeciwnym kierunku.

- Zawieziemy go do domu – powiedział Erwin – Zaprosiłem go też do tej mojej piwnicy na Pfeffersteake. To po prostu niebo w gębie, zobaczysz. Drugiej takiej piwnicy na całym świecie nie ma!

Taką propozycję Erwina odrzucić jest trudno, a do tego dodać wypada, że to przecież moja praca. Lecimy. Lądowanie w Rotterdamie. Taksówkarz przecina sobie tylko znane ulice nabrzeży portowych. Wsiadamy i nie widzimy nic szczególnego. Schodzimy po schodach, a przed oczyma wyrasta nam kamienna piwnica, potężna o gotyckim sklepieniu, niczym opuszczona przez możnych władców. Są tu beczki, deski i rysunki na ścianach, a pośrodku ogromny, okrągły, czarny grill. Wszystko jest tutaj czarne. Oczy pędzą po zapchanych ścianach. Cała sceneria jest po prostu niesamowita! O tej porze nie ma jeszcze nikogo. Stoły są tu duże – dwie beczki, a na nich czarne, grube i odpowiednio szerokie deski. Ławki są podobne, tylko beczki mniejsze. Podszedł do nas jedyny, tu obecny kelner, przypominający polskiego szlachcica, choć bez wąsów. Na jego potężnej dłoni leży deska, niczym taca, naznaczona śladami swej niezbywalności. Na niej poukładane są świeżutkie kawałki



połudwicy. Każdy z nas wybierał ten największy. Rozmowy i oglądanie rysunków, plakatów, jak też starych zdjęć wiszących tutaj, skróciły czekanie na pachnące już przysmaki. Wjechały na stół ogromne talerze, a na nich potwornie grube kręgi połędwicy, na tajemny, wiadomy jedynie jemu, sposób upieczone, które zapachem swym zwiastowały właśnie to, co warte jest lotu i z Antypodów, jak mawiał Erwin. Podano gotycki Pfeffersteak, który mocą swego zapachu przywołał nas do stołu. Piliśmy i jedliśmy chwając gospodarza. W tym towarzystwie byłem jedyny, który zapytał siebie, ile te kawałki mięsa faktycznie kosztowały.

A jednak się opłaciło, bo zamiast wracać do domu mamy lecieć na Norderney! Jeszcze kilka telefonów i faktycznie, jeżeli damy radę tam dotrzeć, to może zgarniemy czekające na nas miliony. Ten, który te dolary rozdaje, odpływa właśnie z Norderney. Musimy zdążyć zanim rzuci cumy i odpłynie razem z pracą na wiele miesięcy dla całej naszej załogi. Zatoka Perska i leżące tam na dnie statki czekają na wydobycie. To coś dla nas!

Ale jak tu lecieć? Pogoda nie pozwala na lot z widzialnością. Mamy typową IMC for landing (pogoda nielotna). Żadnych pomocy radionawigacyjnych na tym małym lotnisku na Norderney nie ma. Mam aktualną pogodę i wiem, że bez ILS, bez VOR DME, czy nawet NDB – Approach (bez pomocy radionawigacyjnej), nie mamy szansy tam wylądować, a mój samolot niestety, ale ANS'em (automatyczne naprowadzanie do lądowania) nie dysponuje. W rozmowie telefonicznej z ewentualnym zleceniodawcą, Erwin, dowiedział się, że wyspowi piloci dzisiaj nie latają, a oni przecież najlepiej znają wszystkie wyspy, każdy ich załomek i niemal każdą falę. Nie mogę z nimi konkurować, ale też wcale nie chcę! Za duże ryzyko. Przeżyłem kiedyś podobną sytuację, ale wtedy miałem sprzęt, delikatnie mówiąc mizerny, natomiast miejsce lądowania nie pozostawiało otwartych życzeń. Tutaj sytuacja

jest odwrotna.

Erwin Kronschnabel – szef firmy cenionej na wszystkich wodach świata, zawsze spokojny i zrównoważony, teraz powrócił smutny. Usiadł bez słowa i nie mógł mi spojrzeć w oczy. Wiem, czego ode mnie oczekiwał. Wiem też, że Erwin niczego się nie boi, ale ja się boję! Za dużo tu niewiadomych. Czas uciekał, czekał na decyzję, na moją decyzję!

Dlaczego serce zaczyna mi szybciej uderzać i zasychać w ustach, kiedy piszę o przeszłości? Przecież to już nieważne, to bajka – o prawdzie, ale dawno już przeżytej...

Mimo woli układałem w myślach plan działania, tak jak by na wszelki wypadek.

- Zadzwoń jeszcze na wieże.- powiedziałem, wstałem i powolnym krokiem zacząłem odmierzać odległość do pomieszczeń briefing'u (przygotowania przed lotem). Wszędzie widoczne było to duże „C”, które prowadzi każdego pilota ku całej armii ludzi dla niego pracujących. Te schody i korytarze różnią się od innych. Tak jest w każdym porcie lotniczym, są puste i panuje niemal zupełna cisza.

Idę powoli. Co robić? Wyjmuję z kieszeni mój kalendarz lotniczy -Flieger-Taschenkaleder, z którym nigdy się nie rozstaję. Jest niczym lotnicze vademecum dostarczając szybko koniecznych informacji bez zbędnego szukania. Tym sposobem skracam czas podejmowania decyzji. Tak i teraz, zanim opuściłem owe korytarze, podjąłem decyzję! W rozdziale COM – Radio Communication and Navigation – na 10 i 11 stronie mam niemal wszystko przygotowane do lotu na Norderney. Dotyczy to, co prawda samolotów lecących drogą lotniczą AWY R12 na FL 65 a dalej FL200 (informacje dla dużych samolotów wysoko latających), ale to właśnie to, czego potrzebuję i co poprowadzi nas do naszej Norderney! Jeszcze rzut oka do AGA MAP – Aerodromes and Charts (mapa

lotnisk) – na 170 stronę i mam właściwie wszystko, czego potrzebuję. Drobne dopasowania dla naszej procedury podejścia, a więc ustalenie Radial dla WPT2 i WPT1(kierunku i wysokości podejścia) odległych od siebie o 6 NM (mile morskie) tak, aby nasza procedura podejścia na Norderney VOR DME RWY 27 była kompletna. Tym sposobem poradzimy sobie i bez Area Navigation (przyrząd, ułatwia podejście do lądowania), i cokolwiek.

Groningen (radiolatarnia) (VOR/DME) EEL 112,4 będzie naszą prowadzącą: WPT2 (QDR 035°, 39 DME), WPT1 (037°, 37 NM)(procedura podejścia do lądowania). Jeszcze przyjmuję wysokość rozpoczęcia schodzenia na 2000 ft. Prędkość zniżania 300 ft/min. Nad WPT1 zamknę plan lotu Y (przejście do lotu z widzialnością). Potem zakręt 45°. Na 5° przed kursem 270° wyprowadzę, rozpoczynając schodzenie do widzialności, a którą już dawno powinienem mieć. W czasie lotu przygotuję to samo dla VORTAC na Helgolan (też radiolatarnia), oddzielone morzem tyleż samo mil, co i Groningen. Jeszcze tylko telefon do Norderney na wieże. Muszę znać aktualną podstawę chmur! Bez posiadania dokładnych danych, co do podstawy i widzialności, nie polecę! Nie czekałem długo na odpowiedź.

-Widać połowę latarni morskiej, czyli jakieś 20-25 metrów, a widzialność około trzech kilometrów. Nasi chłopcy nie latają.- usłyszałem.

Powinno więc wystarczyć, o ile fale nie będą za wysokie.

Teraz precyzja moich obliczeń, a potem dokładność ich wykonania będą decydowały o powodzeniu. Złożyłem plan lotu, gdzie w Flight Rules (w rubryce przepisów lotu) wpisałem Y(warunki lotu z widzialnością), wziąłem też całą masę papierów z pogodą, która niestety nie dawała szans na zakończenie lotu zgodnie z założeniem. Jednak lotnisko zapasowe Hamburg pozwoliło uciszyć sceptycyzm fachowców

zza biurka. To ja lecę i ja podejmuję próbę podejścia, a jeżeli się nie uda, to MISSED APPROACH (nieudane lądowanie) i do Hamburga a tam ILS'em w dół i samochodem do domu. Tam na nas czekają i okażą radość z niespodziewanego, a do tego jeszcze wcześniejszego powrotu.

Wracam prowadzony z daleka, czekającym na odpowiedź, pytaniem. Usiadłem przy stoliku. Erwin podniósł wzrok i spokojnym głosem zapytał: - Lecimy? - Tak, lecimy - potwierdziłem.

Każdy z nas zdawał sobie sprawę, że szanse na powodzenie są raczej niewielkie, a ryzyka nie podejmę żadnego! Największa niewiadoma, to dokładność wskazania wysokości nad morzem. Metry będą decydowały o naszym powodzeniu. W taką pogodę oddzielenie szarości wody od szarości chmury, której dolna podstawa faktycznie nie istnieje, jest po prostu niemożliwe. Wiem, że to jest bardzo trudne i kryje w sobie, niewidzialne, to jedyne niebezpieczeństwo. Teraz lecimy razem i każdy z nas jest zatopiony w podwójnej ilości pytań pozostawionych bez odpowiedzi.

Czas mija, a otulająca nas chmura jest zupełnie nieruchoma i nie oddaje tego, co się faktycznie rozgrywa. Uspakaja też odczytana zewnętrzna temperatura- OAT 12°. Taka temperatura panująca w chmurze nie kryje przed nami żadnego niebezpieczeństwa, ani oblodzenia, ani gradu, a turbulencja, jeżeli w ogóle jest, to prawie niewyczuwalna. W takim momencie, kiedy wszystko przebiega normalnie, myśli chętnie uciekają do sytuacji, które są przyczyną głośnych i długo trwających dyskusji, nagle i nieoczekiwanie milknących brakiem odpowiedzi. Dlaczego informacja o przyczynach pozostaje bez odpowiedzi? Dlaczego black-box i ukryty w nim voice recorder muszą zaniemówić?! To przecież nasze pieniądze przeznaczone na zakup nowoczesnego sprzętu. Ale on nie popełnił błędu. W walce maszyna-człowiek, człowiek

przegrywa niestety najczęściej (statystycznie dużo ponad 90% przypadków). Takie są fakty i prawdy tej nie musimy się wstydzić. Technika po prostu nas prześcignęła, a człowiek ptakiem jeszcze nie jest. Brakuje wielu milionów lat dalszego rozwoju, jeżeli te teorie są zbliżone do prawdy. Dlaczego zginęli z pracującymi turbinami, które nie udźwignęły samolotu, a potem zamilkły na nasypie w Mirosławcu? Las był dla nich za wysoki?

Do takich właśnie ludzkich błędów mogę zaliczyć też lądowanie, które do złudzenia przypomina inną głośną dyskusję o incydencie lotniczym w Hamburgu. Przedmiotem owych głośnych informacji było lądowanie drugiego pilota, która podchodziła do lądowania z silnym bocznym wiatrem. Samolot Lufthansa'y z pasażerami na pokładzie dotknął skrzydłem ziemi, ale mimo tego podniósł się w powietrze wyjaśniając tę niebezpieczną sytuację. Wiał tam wtedy bardzo silny, boczny wiatr – północny, noszący powszechnie znaną nazwę Mistral. W tych dużych samolotach niestety, ale nie zawsze samolot jest pilotowi posłuszny (i komputer może być uparty). Dla nas i naszego bezpieczeństwa warto jednak postawić pytanie: Jak lądować bezpiecznie przy silnym bocznym wietrze? Wiadomo wszystkim, że lecisz aż do podejścia po ustaleniu lotu na ścieżce schodzenia, do lądowania zawsze z wyliczonym i uwzględnionym WCA (Wind Correction Angle- kątem znoszenia).

No i teraz zaczyna się problem, który tak naprawdę żadnym problemem nie jest.

Dlaczego nie jest to problem? Otóż w momencie, kiedy podczas lądowania przyjmujesz już kierunek pasa lądowania powinieneś jednocześnie pochylić samolot wprowadzając go w ześlizg kierunkowy. Umożliwi Ci to bezproblemowe utrzymanie kierunku pasa (center line). Tym sposobem powierzchni pasa dotykasz jedną golenią – nawietrzną i

kółkiem ogonowym w przypadku posiadania takowego. Wiatr uczyni resztę za ciebie i druga goleń zawietrzna sama dotknie ziemi. To wszystko.

Wracając teraz do lądowania w Hamburgu – pilot przyjmując kierunek do lądowania skręciła samolot w lewo, podnosząc prawe skrzydło. W tej sytuacji wiatr jej chętnie dopomógł. W efekcie lewa goleń pierwsza dotyka pasa (zamiast prawa) i dlatego lewe skrzydło dotyka ziemi!

Ja osobiście miałem podobny przypadek – było to lądowanie, też z Erwinem, na lotnisku wojskowym w Lizbonie.

- Mamy lotnisko zamknięte z powodu bardzo silnego wiatru w poprzek pasa lądowania. Lądujcie na lotnisku cywilnym – tam mają RWY 35 (odpowiedni kierunek pasa do wiatru). To zbyt niebezpieczne dzisiaj lądować na naszej 26-08. Na dodatek wszystkiego, morfologia terenu pogarsza jeszcze tę niedogodność. Ważność osób na pokładzie uzasadniała lot naszą salonką – Merlin IIIB. To zupełnie inny samolot i przyjemność lotu niemal podwójna. Do tego na pokładzie jest miła dziewczyna dbająca o dobry nastrój tak pasażerów, jak i pilota. Lubiłem latać tym samolotem.

Lądujemy na 26 i kąt znoszenia trzymam niemal do ostatnich metrów. Teraz lewe skrzydło w dół i sterem kierunku na 26. Aby utrzymać kierunek pasa musiałem obrócić wolant w lewo niemal o 90°. To właściwie wszystko co wyróżniało to lądowanie od innych. Jednak Mistral może mieć także zupełnie inny wymiar i to wie ten, kto choć raz był w Serres u Klaus'a. On najlepiej wie jak niesamowite loty szybowcem umożliwia ta zimna, szybko przemieszczająca się masa powietrza przygnana z północy. Uwalnia niewyobrażalne wprost siły dostarczające przeżycia, do których chcesz powrócić i pragniesz by trwały. Lecisz jak oszałały na wysokości wytrzymania, sekundy przed lądowaniem i nie lądujesz, lecisz dalej i jeszcze dalej, cały czas cholernie nisko nad lodowcem

„Glacier Blanc”. Dotykasz go dosłownie ręką i nie lądujesz, lecisz dalej. W pewnym momencie wydaje się, że teraz, to już musisz na nim wylądować. Brzuchem szybowca wyrównujesz fałdy lodu, a ty lecisz i lecisz i zachwyty szarpie przeżycia. Kończy się lodowiec i lecisz dalej! Jakież to wspaniałe! Ten pierwszy raz, by Ci odwagi nie zabrakło, siedzisz z Klaus'em w jego żółtym Califie – tak jest bezpieczniej i możesz chłonąć wrażenia całym ciałem. Przeżywasz, te długie, cudowne godziny w powietrzu pomiędzy szczytami i w dolinach bez wyjścia.

Często pytasz: Gdzie dalej? To pytanie jest echem pytania znanego niemal wszystkim Polakom. To pytanie stawiane jest uczestnikom spływu Dunajcem przez Górala: „a wyjście z doliny Panocku, to po lewej czy po prawej?”

Erwin przerwał milczenie - Lecimy prawie godzinę.- Jeszcze długo?

-Zaraz rozpoczniemy zniżanie do 2000 ft.- odpowiedziałem. - „Request leaving FL for 2000 ft”( zniżenie lotu).- zgłaszam przez radio.

-„D-ICRG Transition altitude 3000' on QNH 1014,3 descent 2000 ft.”(zgoda na obniżenie lotu) - słyszę odpowiedź.

Teraz dopiero zaczyna się przygoda spotkania z wyspą na Morzu Północnym – Norderney. Nadal nic się nie dzieje, ta szarość jest niezmienna, jedynie przyrządy pokazują zachodzące zmiany. Po zejściu do 2000 ft pozostało nam jeszcze kilka mil, by przelecieć nad WPT 2 (ustalony prze mnie punkt kontrolny). Teraz zamykam plan lotu, by już sam w spokoju odwzorowywać to, co tak starannie powołaliśmy do życia.

-„Bremen Radar D-ICRG cancelling my IRF flight; Norderney in sight.” - „D-ICRG IFR flight cancelled at 1535.”( zgłaszam zamknięcie planu lotu)

Powiedzieliśmy sobie jeszcze kilka miłych słów na pożegnanie. Tu jestem jak u siebie, tu znają mnie niemal wszyscy kontrolerzy ruchu. I tym razem tak właśnie było – zaufał mi, bo tej naszej upragnionej wyspy nie mogłem w tych warunkach pogodowych (IMC) zobaczyć. Oni wiedzieli równie dobrze, że to jest cicha umowa, nieprawda, na którą nie zareagowali. Pozwolili mi spróbować wiedząc, że nie podejmę nieodpowiedzialnego ryzyka! Nad WPT2 (drugi mój punkt orientacyjny) wyłączyłem autopilota i rozpocząłem skręt w prawo. Zmniejszam prędkość, daję małe kłapy i czekam do 265°. Wychodzę z zakrętu na 270° Teraz zniżanie 300 ft/min, wytrzymować samolot. Cessna sama schodzi w dół. Wysokość, teraz wysokość jest najważniejsza i czas do WPT 1! Wiatru prawie nie ma, więc nie powinno nas spychać, a i fale muszą być niewysokie. Nic się nie zmienia, czekamy. Jedyne wysokość maleje i czas naszego zniżania się kończy. Jeszcze sekundy dzielą nas od WPT1. Na wysokościomierzu jest 100 ft a więc około trzydzieści metrów nad powierzchnią wody i jeszcze nic nie widzę! Schodzimy jeszcze niżej. W kabinie robi się głośniejsze – to odgłos silników! Skąd to? To odbicie o morskie fale potęguje ten hałas. Poniżej 60 ft nie zejść! Czas minął, wyrównanie, tylko nie niżej! Podciągam sylwetkę samolotu do horyzontu (tego sztucznego)! Wariometr na zero. Koniec schodzenia! Nadal nic nie widzę! Teraz tylko w górę – missed approach (przerwane lądowanie)!

W tym też momencie, niczym ostatnie ostrzeżenie, pierwsze krople wody morskiej padły na szybę! A ja dalej nie widzę, gdzie kończy się chmura i nie wiem jak daleko mamy do wody. Tylko w górę – tam bezpiecznie, tam nic nam nie grozi!

-Erwin, to koniec, nie udało się, lecimy do Hamburga! - mówię i nagle słyszę - POCZEKAJ!, NIE! NIE! Widzę! Widzę Latarnię Morską po prawej!

Ta latarnia, to Norderney! Odchyliłem się w prawo i



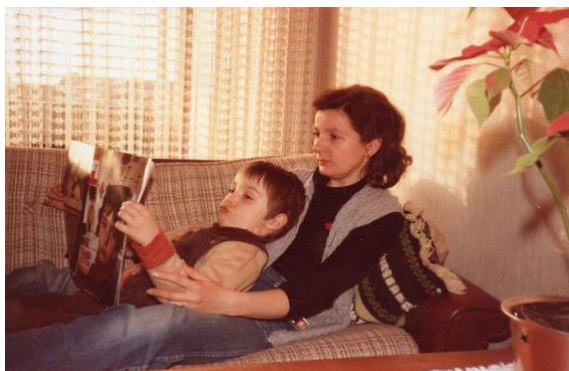
zobaczyłem, dla mnie utraconą już latarnię morską. To faktycznie latarnia, a dlaczego nie biała? Szczęście i tym razem nas nie opuściło. Ilość możliwości popełnienia błędu była tak duża, że prawdopodobieństwo, by wypadkowa wszystkich błędów była równa „0” było bardzo małe. Przełączyłem na 122,60 i lecę tak, by nie stracić tego jedyne punktu odniesienia.

-,D-ICRG z prawym kręgiem do lądowania na 27”.- zgłaszam - nikt nie odpowiedział, ale prawdę mówiąc niczego innego nie oczekiwałem. Nie szkodzi, że nikt nas nie wita. Krąg, po którym lecimy, oficjalnie nie istnieje, a ten obowiązujący jest po drugiej stronie pasa, ale kogo to dzisiaj interesuje! Wieża milczy nadal. Nikogo na niej nie ma, bo i nikt się nie spodziewał, że przylecimy, że ktokolwiek dzisiaj przyleci. Po zatrzymaniu naszej wiernej „Indii Golf”, jak ją nazywaliśmy, na pustej dzisiaj płycie, panowało miłe i zarazem ciepłe sercu milczenie. Nie zamieniliśmy ani słowa. Żaden z nas nie poruszył się. To było właściwie proste, ale i trochę niesamowite. To spotkanie z Norderney.

Wysiedliśmy z samolotu, ja udałem się do miejscowej restauracji, a Erwin na poszukiwanie swojego szejka, który miał na niego czekać. Erwina nie było nieco ponad godzinę a ja w rozmowie z pilotami i gośćmi tu ukrytymi nie nudziłem się. W międzyczasie złożyłem plan lotu do Ganderkesee. Kiedy zobaczyłem wchodzącego Erwina, z miny jego wyczytałem pomyślny wynik przeprowadzonych rozmów. Nie tracąc czasu udaliśmy się do samolotu i bez najmniejszych kłopotów wróciliśmy do Ganderkesee, tam pożegnałem się z Erwinem, który podając mi rękę spojrział w oczy i powiedział – To był chyba Meisterstück! Dziękuję, a teraz leć do domu.

## **Ucieczka przed śmiercią – pełne oblodzenie**

Wszystko zaczęło się drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia. W Hamburgu, dzień grudniowy przypomina jesień, a właściwie typową szarugę jesienną, jaką mamy w Polsce. Siedzę wygodnie w fotelu i patrzę przez okno na wynurzające się z nisko wiszących chmur samoloty, podchodzące do lądowania na pas 23, nie myślałam o tym, by w ten świąteczny dzień pożegnać się z moim pięcioletnim synkiem i żoną, która właśnie przygotowywała świąteczne śniadanie. Miało stać się jednak inaczej.



*Szeniek z Fabianem*

Zadzwoił telefon. - Lecimy do Turcji... przygotuj samolot. W Mersin potrzebują ludzi. Samochód z nimi jest już w drodze na lotnisko! ... i jeszcze jedno, nocujemy w Monachium.

W takich sytuacjach biorę walizkę i torbę będące stale w pogotowiu, no i w drogę. Pożegnanie serdeczne, ale krótkie, takie, jakich jest wiele w mojej pracy pilota; nie wiem, kiedy wrócę.

- Nie leć tatusiu – prosi Fabian

Schodzę po schodach do samochodu. Mokre ulice same prowadzą mnie na lotnisko Fuhlsbüttel. Z parkingu do bramy obok hangaru jest tylko parę kroków. Stoi tam budka – mała drewniana budka, gdzie piloci składają plan lotu i biorą pogodę

na trasę. Tutaj często spotykałem Otto, mojego ulubionego komika, który tak na scenie jak i po lotnisku poruszał się z równą sobie lekkością, ale dzisiaj było pusto. Szkoda, bo on, to nawet i w tak zapłakany dzień, potrafiłby uśmiechem rozjaśnić płytę lotniska. Składałam plan lotu, biorę pogodę i idę do hangaru po samolot. Moją Cessnę 404 D-ICRG.

Niewidoczna, wciśnięta pomiędzy duże maszyny, musi być wyranżowana i wyciągnięta przed hangar. Stojąca obok Merlin III b, pozostanie tutaj sama i będzie czekać na mój powrót, by latać, ale już na wyższych poziomach lotu, nieosiągalnych dla Cessny, która nie ma turbin i kabiny ciśnieniowej.

Wsiadłem do maszyny, by wyszukać odpowiednie strony Jeppesena na lot do Monachium. Poczulem drgniecie samolotu. Krople deszczu na szybie porywane wiatrem, wcale nie zachęcały do wyjścia na zewnątrz, ale preflight checks (sprawdzenie samolotu) przed lotem nieubłaganie pośpieszał do wyjścia z samolotu. Z małego busa wysypali się moi pasażerowie i od razu samolot zakołysał się życiem. Po zakończeniu wszystkich czynności przed startem, usiadłem na swoim miejscu i zapaleniem świateł uciszyłem wszystkich, którzy mieli ze mną spędzić kilka godzin w powietrzu. Kołujemy. Przed nami duży Jumbo 747, który dźwiga cztery ogromne turbiny. Muszę zwolnić. Potem i tak będę czekał aż turbulencja się zmniejszy, bo inaczej w powietrzu rozszarpałoby nas na kawałki. Wreszcie dostaje zgodę na start. Naszego poprzednika już nie widać, ale powietrze nie pozwala o nim zapomnieć. Jeszcze sprawdzenie położenia horyzontu lotniska na szybie i jestem gotowy do startu. Do Monachium będziemy lecieli przez cały czas w chmurach. W takich sytuacjach czuję niemal namacalnie tę niesprawiedliwość. Samoloty pasażerskie, mają wszystko to, co człowiek wymyślił, by lot w trudnych warunkach atmosferycznych uczynić bezpiecznym, a do tego latają na wysokościach, gdzie chmury nie zakrywają słońca. W przeciwieństwie do nich, my

przemierzamy trasy na wysokościach najgorszej pogody! Szczególnie w miesiącach zimowych, w których tym największym niebezpieczeństwem jest oblodzenie. Bez kabiny ciśnieniowej skazani jesteśmy na te najniższe poziomy lotu, a świadomość, że nasz drugi samolot Merlin III B stoi beczynnie w hangarze, jest męcząca i przykra.

Latanie Cessną 404 na poziomach lotu 60 do 110, a tylko wyjątkowo nieco wyższych, nie można porównywać do tego, na co może sobie pozwolić ten leniuch w hangarze. Ale niestety, ze względu na ilość pasażerów i nieco ładunku byliśmy zmuszeni wziąć Cessnę.

Będziemy lądować na pasie 07 (ILS DME Rwy 07), approach (zbliżanie) 120,65. Nasz lot przebiegał spokojnie, ale w kabinie ożywiło się dopiero z momentem zniżania lotu i wyjścia z chmur. Światła lotniska Riem II, choć w dzień słabe, zafascynowały i zmusiły niemal do głośnego zachwytu siedzących z tyłu pasażerów. Lądowanie było delikatne, prawie niewyczuwalne: Na wysokości około półtora metra unoszę dziób na tyle, aby linia horyzontu lotniska pokrywała się z moją linią, sprawdzoną jeszcze przed startem. Tym sposobem delikatne dotknięcie kołami pasa startowego, zarówno w dzień, jak i w nocy, staje się miłym i pewnym elementem zakończenia lotu. Wystarczająco długi pas pozwala minimalnym naciśnięciem hamulców go zwolnić dla będących już final approach (na dolicie) kolejnych maszyn. Taxi przez Delta (drogi kołowania) i dalej za Follow-me (samochód doprowadzający), który doprowadza nas do General Aviation Parking. Otwierając drzwi samolotu, poczułem mroźne powietrze, które natychmiast przypomniało mi, że to przecież zima. Jadąc taksówką podziwialiśmy pięknie przystrojone ulice stolicy Bawarii.

Śnieg dodawał uroku tej kolorowej bieli i mimo woli powróciły wspomnienia Świąt Bożego Narodzenia w

Warszawie... Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Powiśle, „Poniatowszczyk” – to był mój dom. Zabrano mi go nie pytając o zgodę! Właściwie, to pytali, ale mieszkając już w Mostowskich, na Rakowieckiej, w Strzelcach Opolskich i tym podobnych przybytkach rozkoszy dla nieposłusznych, wybrałem alternatywę opuszczenia PRL i teraz błędzę podniebnymi drogami z dala od Ojczyzny.

Jest jeszcze wcześniej i będziemy mieli czas na zakosztowanie Weisswurscht (tradycyjna bawarska kielbaska), Bretzel (słone prece), Süßer Senf (słodka miodowa musztarda) no i spróbować się zmierzyć z takim jednym Maß (1 litr piwa).

Dlaczego w takich sytuacjach właśnie ja muszę być pilotem? Zasada jest, że śpimy w hotelach Hilton, bo już wszystko w nich jest nam znane: wystrój wnętrz, usytuowanie pomieszczeń, umeblowanie i wiele, wiele innych funkcji, co w sumie dawało nam poczucie swobody. Każdy z nas zna tutaj wszystko na pamięć – o nic nie pytasz i nic cie nie zaskakuje. Czujemy się w tych murach wieżowców niczym we własnych czterech ścianach, a jednak, każdy może być sam dla siebie jeżeli tylko tego potrzebuje. Tym razem jest to „Hilton München Park”. Widoczny z daleka, wyskakujący ponad inne budynki swoimi dwunastoma, a może trzynastoma pietrami. Wschodnia ściana, niczym plaster miodu, oknami swymi patrzy z góry na niepozorną rzekę Isar wtuloną w zielenie. Ładnie tu. Nie dla nas jednak rozkosze turystów, głodnych pięknych zabytków tego miasta, któremu warto poświęcić więcej czasu, oj warto.

Na deptaku pomiędzy Stachus a Marienplatz znajdujemy typową, stylową knajpkę, by zakosztować osławionych Weisswurscht.

Technikę jedzenia tych kielbas, patent Bawarczyków, trzeba wykraść, bo jest prosty i naprawdę przydatny.

W recepcji dają nam klucze do zarezerwowanych pokoi. Śpię sam z panoramą miasta u stóp. Śniadanie o siódmej. Zjadamy jajka na miękko, szynką, chrupiącą bułeczkę z masłem no i, jak że by inaczej, miód. Siedzimy przy wspólnym stole, ale niewiele czasu poświęcamy sprawom dzisiejszego lotu. A lecimy do Istambułu. Lądowanie na lotnisku „Mustafa Kemal Atatürk”, nocleg w „Hilton Istanbul”. Wieczorem mamy zaproszenie do baru na najwyższym piętrze.

Polecimy nad Alpami, potem przez Góry Dynarskie i Rodopy. Lądowanie najprawdopodobniej z nad morza (MM). Pierwsza część trasy w chmurach, a czasami i pomiędzy nimi. Widok ten, niczym „szczyty górskie w bieli”, dostarczy w swej niecodzienności wprost bajecznych przeżyć. Warto będzie popatrzeć!

Bierzemy z pokojów ciuchy i idziemy do taksówek, które już czekają. Monachijski ranek przywitał nas lekkim mrozem i niebem pokrytym wysokimi i średnimi chmurami dotykającymi szczytów gór. Mając dziewięciu pasażerów, przechodziliśmy przez odprawę wszyscy razem, co znacznie przyspieszało kontrolę bagażu. Moi pasażerowie czekali zziębnięci przed samolotem ściśnięci w pęczek nie wykazując zainteresowania tym, co robię, a po otwarciu drzwi szybko zniknęli w zimnych jeszcze fotelach. Wszyscy, tak naprawdę, ucieszyli się, kiedy zamknąłem drzwi samolotu.

Znałem dobrze lotnisko Riem z jego jedynym pasem startowym Rwy07-25 niemal zawsze zmuszającym do czekania w kolejce na start.

W kabinie, obok mnie, zajął miejsce jeden z naszych pracowników, któremu obiecałem rolę „drugiego pilota”. Moi pasażerowie, to fachowcy wysokiej klasy, wykonujący niemal wszystkie prace z równą łatwością nad, jak i pod wodą. Uruchamiam silniki: Najpierw Before starting engines (przed startem), następnie Starting engines (start) i dalej wszystko to,

co skrupulatnie zgodnie z check listą (obowiązkowa lista wykonywanych czynności) wykonuje pilot zanim rozpocznie kołowanie.

-D-ICRG Request taxi for IFR flight to Istanbul.(kołowanie do lotu do Istambułu) - zgłaszam

Dostaję pozwolenie kołowania do 07 przez Kilo i Bravo (drogi kołowania). Jeszcze tylko przygotowanie się przed startem do lądowania, spojrzenie na horyzont lotniska, zapamiętanie, gdzie rysuje się na szybie jego linia i możemy opuścić lotnisko w Monachium. Po przejściu na Radar 129,35 i osiągnięciu przydzielonego poziomu lotu( FL 90) zalega cisza podkreślona aksamitnym mrużeniem silników. Autopilot utrzymuje zaprogramowane parametry lotu. W naszej Cessnie 404 D-ICRG jest ciepło i przyjemnie, a dochodzące do nas głosy z części pasażerskiej kabiny mówią same za siebie.

Co jakiś czas przychodzi ktoś, kogo zaciekawiły z daleka widoczne instrumenty - oczy i uszy samolotu. Odpowiadam, wyjaśniam, tłumaczę. Lubię latać z tymi, nie poddającymi się niczemu ludzi, których obserwowałem wielokrotnie w sytuacjach budzących czysty podziw.

Zgodnie z przewidywaniami podchodzimy do lądowania od południa z nad Morza Marmara na 36 R i do Approach (zbliżanie) na częstotliwości 126,4 zgłaszamy established (ustalenie na ścieżce schodzenia). Po prawie pięciu godzinach wędrówki słońce zajęło miejsce za nami by rozświetlić miasto będące ośrodkiem władzy przez prawie 1600 lat. Zbudowane na siedmiu wzgórzach niczym Rzym, otoczone niegdyś murem, dzisiaj trzyma Europe i Azję w swych rękach. Jest tylko pytanie: czy je łączy, czy też dzieli?

Po wypuszczeniu podwozia, pełnych klap a potem propeller synchronphaser i disengage off i teraz tylko delikatnie unoszę dziób na tyle, by linia horyzontu pokryła się z zapamiętaną na szybie linią horyzontu z Monachium i samolot sam dotyka

ziemi. Po wylądowaniu i ustawieniu nas na parkingu, duży autobus zabrał moją małą grupkę zgłodniałą ruchu. Spotkamy się później przy obiedzie.

Sprawdzam poziom oleju, który będę musiał wymienić najpóźniej po następnych pięciu godzinach lotu, tankuję i robią wszystko, co jest konieczne, by jutro być gotowym do startu. Na koniec jeszcze muszę uregulować landing fees (opłatę lotniskową).

Po opuszczeniu lotniska taksówkarz dopomógł mi utonąć w niezrozumiałości miasta. Spóźniłem się na obiad i jadłem sam. Wieczorem jest spotkanie w barze. Tam mężczyźni wyławiają skierowane do nich uśmiechy przeuroczych bogiń wschodu. Kolorowe światła szklanych ścian baru uzupełnia łuna oddychającego chłodem miasta.

Następnego dnia wszystko potoczyło się zgodnie z panującym tu zwyczajem. Jedyne nieco odmiennie zachowanie niektórych, wskazywało na pewien nadmiar, ale także i pewien niedomiar...

Przecinamy Anatolię (częściej nazywaną teraz Azją Mniejszą) aż do lotniska Adana położonego blisko Morza Śródziemnego. Podczas lotu trwającego dwie godziny i pięćdziesiąt dwie minuty nic szczególnego nie przeszkodziło nam w rozszyfrowywaniu morfologii rozległej panoramy. Pogoda uczyniła go lotem z widzialnością, ale nie pobudziła do jakiegokolwiek aktywności ze strony moich okrytych letargiem uczestników nocnych tańców. Jako pilot firmy „Kronschnabel & Franke Schwerlast Spedition GmbH ([www.kronschnabel.de](http://www.kronschnabel.de)) mogłem uważać się za specjalistę, ale od latania. Za spawanie pod wodą raczej bym się nie brał – a dla moich pasażerów, to przecież chleb powszedni. Mają naprawdę ogromne umiejętności i należą do grona nielicznych na świecie specjalistów w tej dziedzinie.



Lotnisko Adana. Dużo tu mundurów i wojskowego sprzętu: samoloty, śmigłowce, nawet tego nie latającego też jest bez liku. Mamy zgodę na lądowanie na pasie 05, potem pasem do końca, w prawo, prosto i na apron (stojankę). Miejsce vis a vis wieży, na którym brak było jakiegokolwiek śladu po innych samolotach. Przywieźliśmy ze sobą zapach Europy obcy w tutejszych warunkach i zupełnie nie do przyjęcia. Follow-me (samochód prowadzący) wykonał, co swoje i zniknął. Nikt z nas się nie spieszył, byliśmy u celu. Zamykając drzwi na klucz spojrziałem w kierunku wieży. Nie było żadnego pojazdu, który by nas zabrał. Wszedłem ponownie do samolotu i pytam wieżę, a oni na to: - Idźcie pieszo.

Poszliśmy na przywitanie z przyciskającą nas do ścian armią. Praktyczna rada dla każdego Europejczyka: schowaj zegarek głęboko do kieszeni, bo godziny inaczej się tu odlicza, a o Europie najlepiej zapomnij.

Z lotniska do miasta Mersin jedziemy taksówką. Jest to chyba około osiemdziesiąt kilometrów na południowy zachód w stronę morza. Zatrzymujemy się przed budynkiem żywcem przeniesionym z Monachium – „Hilton Hotel” niedaleko bulwaru odgradzającego plażę. Już sam widok zabrał nam pierwsze zmęczenie. Jesteśmy u siebie, tu znamy każdy kąt.

Rano, jak co dnia, słońce zaglądało do mnie przez hotelowe okno i mimo woli mrużąc oczy patrzyłem jak morze swą czarną wodą niczym smołą, przykrywa jeszcze puste plaże. Przez trzy długie tygodnie spoglądałem przez to okno zanim mogłem wrócić do Bremen, gdzie zima podkreśla prawdziwe uroki tej pory roku.

Długo czekamy na przyplnięcie naszych dźwigów. To one mają wybawić z opresji tonący statek. Umiejętności tureckich „specjalistów” rozładowywania kontenerowca doprowadziły do tego, że się przewrócił. Leży na burcie, ale nie zatonął! Utrzymuje się na wodzie odsłaniając wstydliwą cześć brzucha

– stępkę. Bez naszej pomocy prawdopodobnie wkrótce by zatonął. Każdy, kto ciekawym okiem spogląda na statki zakotwiczone w porcie, widzi ten przewrócony kontenerowiec, niczym źle zaprojektowaną zabawkę, która uparcie przewraca się w wodzie nie utrzymując równowagi. Taka operacja to zupełna nowość dla nas wszystkich. Podniesienie go nie będzie łatwe, bo większość kontenerów uparcie trzyma się mocowań. Podstawowym narzędziem pracy są te ogromne, pływające dźwigi, które mają przywrócić nieszczęśnikowi utraconą równowagę i pomoc zdjąć pozostałe na nim kontenery. Przyholowanie tutaj dźwigów z Bremerhaven to trudne, czasochłonne, a do tego ryzykowne przedsięwzięcie!

Moim zadaniem nie było poznawanie ani tej ziemi, oddanej kiedyś kobiecie, jako prezent ślubny, ani fortyfikacji liczących sobie dziś ok. pięć i pół tysiąca lat, czy też portu zbudowanego przez Rzymian. Ja miałem za zadanie otworzyć bramy portu Mersin dla naszych holowników i wleczonych przez nich dźwigów (każdy o udźwigu 6'000 ton). To przecież powinna być prosta sprawa. Żywa gotówka dla portu i mniejsze straty dla armatora pechowego statku. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że każda stracona chwila może zdecydować o uratowaniu statku. Ale w Kapitanacie Portu ciągle pojawiały się nieustannie nowe, zupełnie niezrozumiałe trudności, które doprowadzały mnie do krańcowego wyczerpania. W pewnym momencie nie widziałem już wyjścia z tej sytuacji i zupełnie jej nie rozumiałem. Turcja to kraj, w którym Europejczyk potrzebuje bardzo dużo czasu, by rozgryźć tajemne „prawa” tu rządzące. Na stawiane przeze mnie pytania o przyczyny braku postępu w prostej wydawało by się sprawie, nie otrzymywałem żadnej konkretnej odpowiedzi. Nie panowałem zupełnie nad sytuacją. Czuję się zagubiony, lekceważony i skazany na niczym nieuzasadnione, negatywne decyzje władz portu. Doprowadzony do skrajności i przepełniony wściekłością, pobiegłem do samochodu, ślicznego małego Daihatsu, którym

niczym Ferrari, gnałem na pełnym gazie łykając kilometry. - Zmuszają mnie do zmiany taktyki - pomyślałem - do użycia podstępu, jakiejś tajemnej broni, ale jakiej? Gdzie ją znaleźć?

Wiedziałem, że te nieuchwytnie dla mnie rozmowy w ich języku mogą być kluczem do rozwiązania. Takie działanie, to zupełnie nieznaną mi formą prowadzenia rozmów. To jest po prostu walka. A ja muszę ją wygrać.

W trudnych sytuacjach, każdy człowiek pragnie chwili ciszy dla zastanowienia, odnalezienia się. Zwiedzając miasto natrafiłem na targ. Podobają mi się tutejsze stragany tętniące życiem, pełne rozkrzyczanych handlarzy łakomie patrzących na zagubionego przybysza z Europy. Tanio tutaj i kupujesz dosłownie wszystko, nawet to, czego wcale nie potrzebujesz. Później w domu przyglądasz się tym drobiazgom, które kupiłeś i zastanawiasz się – po co ci one? Będą na prezenty!

I właśnie tutaj zapytał mnie młody mężczyzna skąd jestem. On, studiował w Niemczech i po kilku latach powrócił do domu. Rozmawialiśmy dłużej niż to było w zwyczaju. Okazało się, że San, bo tak mu było na imię, szuka pracy! Szuka? On przecież zna wszystkie zwyczaje i przywary tutejszych ludzi. On może mi pomóc! - Tak, mam dla Ciebie pracę! – mówię – Ale nie na długo, najwyżej na miesiąc.- Zgoda – odpowiedział.

Ta zgoda to moja broń, to klucz do prawdy i koniec problemów! I tak było naprawdę. Przez kilka dni nie opuszczał mnie ani na krok, a kiedy odchodząc, po kolejnym nieudanym dniu w Kapitanacie, przemówił do nich w ich ojczystym języku – zaniemówili! Zaległa cisza. Otoczyli nas ze wszystkich stron, przepaszali, proponowali, wszystko załatwili. Okazało się, że ta najważniejsza rzecz, to po prostu być Turkiem! Potem pytałem o czym oni rozmawiali. Przyczyną wszystkiego był mój upór. Nie rozumiałem, że odpowiednia paczuszka banknotów załatwiłaby wszystko. Ale tym sposobem i bez pacuszki nasze holowniki dostały zielone światło.

Obserwowanie prac przygotowawczych związanych z obróceniem statku było po prostu fascynujące. Niestety, nie mogłem zostać na finał, byłem obecny tylko do momentu wycinania dziury w kadłubie leżącego olbrzyma. Ekipa, która przyплыnęła z dźwigami z Bremerhaven była wyczerpana rejssem do granic ludzkiej wytrzymałości i pragnęła jak najszybciej powrócić do domu. Zmęczenie wyryte na ich twarzach nie pozostawiało mi wyboru.- Polecimy jutro?- pytali - Dobrze, dlaczego nie?- odparłem.

Turcja. Ja jestem nasycony, a hotel to jedyne miejsce, gdzie czuję się naprawdę bezpiecznie. Dlatego zaraz po śniadaniu wybrałem się na lotnisko Adana, by wcześniej przygotować samolot do jutrzejszego lotu. San przyprowadził jakiś stary samochód i razem ruszyliśmy w drogę. Zgodziłem się by przejął rolę taksówkarza. Każda zarobiona Lira ma dla niego dużą wartość. Podczas drogi San tak często rzucał przekleństwami i rozmowa była do tego stopnia utrudniona, że daliśmy spokój. Dobrze nam się razem pracowało, dużo zwiedziłem (nie wspomnę o „domu publicznym” godnym poświęcenia mu osobnego rozdziału) i teraz jedziemy na spotkanie z ostatnimi już przeciwnościami. Tak, jak ten zmęczony samochód, kończy się też nasza wspólna praca. Jak na potwierdzenie tego zapaliło się czerwone światelko ładowania. To alternator. Jedziemy dalej szukając warsztatu. Z asfaltu zjeżdżamy na piasek. Obok stoją w rzędzie czekające na naprawę stare samochody, a przy nich uwijają się pracujący chłopcy. Pracowali bardzo szybko, sprawnie, bez jednego zbędnego ruchu i bez słowa... „Roboty” minionych epok. W rogu pomieszczenia – warsztatu było krzesło i dwa stoły – jeden mały, a drugi większy i solidniejszy z imadłem i porozrzucanymi narzędziami. W kącie przy oknie siedział nieruchomo zatopiony w myślach ich pracodawca. Po krótkiej rozmowie Sana z Sefem, trzech chłopców przystąpiło do pracy przy naszym pojeździe. Młodziutki, może dwunastoletni

chłopak wygrzebywał piasek spod samochodu, dwaj inni zatopili się pod maską silnika. Tylko wystające nogi zdradzały ich obecność. Po kilku minutach, jeszcze bardziej umorusani nieśli dumnie swą zdobycz. Alternator. Teraz Majster przystąpił do pokazu, a głodni wiedzy uczniowie chłonęli z ciekawością nieznaną im dziedzinę, tak ważną na drodze ich krótkiego jeszcze życia. Zepsute łożysko zastąpiono nowym, które nie wiadomo skąd przyniósł najmłodszy z całej piątki. Gestykulacja i wymiana słów pomiędzy malcem a jedyną dorosłą osobą w tej firmie dowodziła, że brakowało czegoś jeszcze. Po naradzie brakujące nity zastąpiono odpowiednio skróconymi gwoździami.

Po kwadransie mogliśmy ruszyć w dalszą drogę i już bez przeszkód dotarliśmy do Adany. Na lotnisku i tym razem traktowano mnie bardzo nieprzychylnie. Sporo czasu upłynęło zanim przebrnąłem przez kontrolne kordony i dotarłem do pomieszczeń dla pilotów. Złożyłem plan lotu do Bremen z lądowaniem w Tessalonikach. Musiałem jeszcze czekać na cysternę z paliwem. Siedząc wygodnie w chłodnym pomieszczeniu z widokiem na płytę lotniska, poderwał mnie widok pięciu mężczyzn ciągnących niewielką, szarą beczkę na kółkach. Zdażali w kierunku mojego samolotu! Niczym trafiony piorunem pogałem schodami w dół krzycząc i wymachując rękoma. Tym sposobem starałem się powstrzymać skorych do działania „ekspertów” tankowania. Zmęczony własnym krzykiem dopadłem skrzydła samolotu a zaskoczeni, moim zachowaniem „eksperci”, zaprzestali pompowania. Wyrwałem wetknięty do zbiornika czarny, zmurszały, gumowy wąż. - Co wy robicie?! Co to jest?! - krzyknąłem. Nie wiem jakim cudem udało mi się zdążyć dobiec zanim pierwsza kropla niewiadomego paliwa wpadła do zbiornika samolotu. Zbita z tropu „ekipa techniczna” stała dalej nieruchomo nie wiedząc, co robić. Nie mogłem wymówić słowa. Najpierw musiałem się uspokoić. Pot szczypał oczy i przykleił mi

ubranie do ciała. Otworzyłem drzwi samolotu. Usiadłem na schodach okrywając się skąpym tu cieniem. Myśli same uciekały do Hamburga, do ludzi lotniska, których darzy się zaufaniem – pełnym zaufaniem do tego co robią. Przyzwyczaili nas, pilotów do psychicznego komfortu, którego tutaj brakuje zupełnie. Wyjąłem z szafki dużą irchę, czyste białe płótno i duży lejek z wbudowanym filtrem. Najpoważniejszy z tej grupy specjalistów ani na moment nie spuszczał mnie z oka, „asystował” wszystkim moim poczynaniom.-Trzymaj! I wcisnąłem mu w rękę wszystko, co przyniosłem ze sobą. Oddałem ich lejek do nalewania benzyny. Był brudny i pogięty!

-Teraz masz TEN lejek – powiedziałem podając zupełnie nowy i dotąd nie używany, zajął miejsce swojego przeznaczenia. Najpierw ircha, potem płótno i dopiero teraz powiedziałem - Pompować! Patrzyłem na koniec trzymanego przez ich Szefa gumowego węża. Specjalista od pompowania sprawnie zaczął poruszać ręką i... nic nie poleciało!

- Powietrze leci - zawyrokował Szef. Faktycznie, było słychać, że leci. Teraz zrozumiałem dlaczego udało mi się dobiec do samolotu zanim wpadła do baku pierwsza kropla paliwa! - Tam w środku tego pojemnika jest faktycznie 100L? - zapytałem

- Oczywiście!- usłyszałem potwierdzenie. I nagle rzeczywiście poleciało... Ale zamiast paliwa pompa wypluła czarne paprochy, resztki zmurszałej gumy i nie wiem, co jeszcze, ale na pewno ta czarna masa nie miała nic wspólnego z paliwem! - Stop! Stop!- krzyknąłem wrywając po raz wtóry koniec gumy z rąk mechanika. Ten drugi przestał pompować, ale ja nie przestałem krzyczeć. Nie mogłem się uspokoić i dalej nazywałem ich bezmyślnymi głupcami, mordercami i nie wiem, kim jeszcze. Pierwsze, czego się uczymy w obcym kraju to przekleństwa. Miałem ich sporo w zapasie i za jednym zamachem chciałem wszystkie rzucić niczym kłątwe!

Czasu nie liczyłem. Temperatura powietrza zdążyła spaść, a cienie wydłużyły się znacznie, kiedy przyjechała ciężarówka z oryginalnie zamkniętą beczką Shell'a. Nalali do pełna. Teraz już byłem spokojny o paliwo, ale został jeszcze przegląd silników. Nie było nikogo innego poza nimi na lotnisku, kto mógłby przeprowadzić prace pięćdziesięciogodzinne na silnikach. Oni byli jedyni... Zrobią?! Zrobili. Ale ja nie ruszyłem się z miejsca.

Wracamy z Sanem do Mersin. Sylwetka oświetlonego miasta zacierą różnice dnia, ale zapachu nie zmienia. Po całym dniu, ostatnim i tak różnym dla nas obu, pożegnajmy go godnie. Chcieliśmy zapełnić nasze puste żołądki delikatnie i powoli. Każdy z nas wybierał to, na co miał właśnie ochotę. Już w nocy, przy pożegnaniu powiedziałem San'owi - Jesteś jedynym Turkiem, którego cenię i naprawdę lubię.

Rano, przez zamknięte powieki czułem miły dotyk promieni słońca. Nadszedł czas by wstać. Mojego ulubionego Daihatsu już nie miałem, więc pojechałem taksówką do portu, by odebrać moich nowych pasażerów. Nocowali na holownikach, a do nabrzeża, gdzie na nich czekałem, przy płynęli małą motorówką. Nie wyglądali na zmęczonych, nie było widać ich wielodniowych zmagań z nieposłusznymi na fali dźwigami. - Macie potwierdzenia przekroczenia granicy? – zapytałem.- Nie. – usłyszałem w odpowiedzi.- Musimy zdobyć jakieś pieczątki. W tych sprawach Turcy są nieustępliwi!

Szukaliśmy dosłownie wszędzie. Nigdzie nie było nawet śladu strażnika granicznego. Czas uciekał... Co robić? Spróbujemy szczęścia w Adanie. Nie było innego wyjścia, jednak konflikt z organami władzy, został zaprogramowany. W końcu ruszył korowód trzech taksówek w kierunku lotniska wiozący „nielegalnych imigrantów”. Znając zwyczajnie tego pilnie strzeżonego państwa, przeczuwałem czekające nas problemy z odlotem.

Ciekawym zbiegiem okoliczności dzisiejszy wschód słońca zanotowano pod data 13 stycznia i do tego jeszcze piątek. „Ładnie zapowiada się ten dzień” powiedziałaaby moja ciocia. Potwierdzeniem moich przeczuć było pierwsze spotkanie z groźnym strażnikiem niewidzialnych granic. Problemy rosły wraz z ilością sprawdzonych paszportów. Decyzja jest nieodwołalna: - Nie ma potwierdzenia wjazdu, nie ma mowy o wyjeździe!

Jako jedyny z całej grupy byłem spokojny, pozostali usiłowali na przeróżne sposoby ratować sytuację . Telefony do ambasady niemieckiej, ale i one nie pomogły. Musimy lecieć do Ankary i tam uzyskać zgodę na opuszczenie Turcji. Byłem zmuszony zmienić Plan Lotu: Lotnisko docelowe Ankara- Esenboga, zapasowe Thessaloniki a w uwagach dopisałem, stop techniczny! krótko mówiąc była to po prostu zaplanowana ucieczka z Turcji. Niby to lecimy do Ankary dla uzyskania zgody na opuszczenie kraju, z podaniem greckiego lotniska jako zapasowe. W uwagach podałem problem techniczny.

W tym kraju wszystko gnało w kierunku przeciwnym do moich zamierzeń. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale cały mój obiektywizm został wczoraj podeptany.

Było tak: San zaprowadził nas do domu publicznego, a właściwie miasteczka otoczonego murem cztero a może pięciometrowej wysokości z potężną bramą i takimiż stróżami moralności. My przeszliśmy normalnie, natomiast małolaty wdrapywały się po każdym wyłomie, czy też występie w murze by rzucić okiem na zakratowane owoce miłości. To co zobaczyliśmy trudno było przełknąć. Przy każdym oknie z kratami nie do pokonania tłum młodych mężczyzn, niczym stado wilków, a te różyczki uczuć rozkarmione do wymiarów niewyobrażalnych. Zapytałem Sana – Po co nas tutaj przyprowadziłeś? - San uśmiechnął się i odpowiedział – Chciałem żebyście zobaczyli prawdziwe oblicze życia



seksualnego w naszym kraju. Jak sam widziałeś kobiety nasze ubrane od czubka głowy do czubka palców i dlatego też młodzi zobaczywszy kawałek ciała kobiety nie są w stanie opanować uczuć pożądania.

Opuściliśmy średniowieczny relikwiarz a obrazu tego nie byliśmy w stanie zatrzeć. W kraju tym jest najtrudniej pogodzić się z traktowaniem kobiet. Dominacja męska na poziomie instynktów zwierzęcych. Miałem okazję płynąć promem i zaobserwować rodzinę turecką. Przy dużym stole matka zakryta szlafrokami i chustami, dwie małe córeczki grzecznie siedzące przy stole, natomiast najmłodszy potomek rodu męskiego tańczył po stole, wrzeszczał a wszyscy odganiaли się od jego wybryków niczym ataku osy. Zachwycony był tylko tata. Takie właśnie wychowanie chłopców prowadzi do dezorganizacji całego życia w społeczeństwie.

Zaliczyliśmy niektóre zabytki i to w tej wycieczce było piękne.

Na koniec, aby uczcić udany rejs, poszliśmy do restauracji, i to jakiej! W stylu rzymskim, niczym koloseum, w kolorach czerwieni i bieli. Siedzieliśmy wszyscy razem (niestety San nie mógł być z nami) przy dużym stole. Jedzenie, muzyka i zgrabna dziewczyna z odkrytymi biodrami (na etacie tegoż domu) razem z nami. To kelner ją polecił dla towarzystwa. Dlaczego nie? Ten wesoły, miły wieczór z obowiązkowym szampanem zakończyliśmy zrzutką już z napiwkami do wspólnej kasy. Kelner przeliczył i okazało się, że prawie drugie tyle brakuje. - Dlaczego? - Każdy z was płaci za Dziewczynę! - usłyszeliśmy.

Nasz zbiorowy protest oznaczał jedno: Nie! Wstaliśmy od stołu, by w górę, po schodach, pójść do wyjścia. Zapaliły się wszystkie światła, a na samej górze, jak za czarodziejską różdżką, solidnie zbudowani zapaśnicy utworzyli krąg dla nas zupełnie nie do przełamania. Nic nie pomogło i dopiero, kiedy ostatni Kurus (1/100 Liry) znalazł się na stole, światło zgasło.

Taka jest prawdziwa turecka gościnność z dala od ścisku turystów. Zebrane doświadczenia wystarczą zapewne nam wszystkim na wiele lat. Wystarczy wspomnień!

Zgodę na start otrzymałem po pokonaniu takich trudności, o jakich się nawet nie myśli i w ogóle nie umiałem ich sobie wyobrazić. Nie zawiodła jedynie pogoda, była jak malowana, typowa dla południowych szerokości. Po uruchomieniu silników jeszcze ATIS (pogoda) i rozmowa z wieżą na 121,1. Teraz byliśmy u siebie, drzwi zamknięte, silniki pracują, jeszcze tylko clearance (zgoda) na start i potem już nas nie zobaczą! Adieu'..

- D-ICRG your ATC clearance, are you ready to copy (czy jesteśmy gotowi do odebrania informacji)? – o tak, tak, jesteśmy gotowi i oby szybciej.

Na pasie jeszcze upewniam się, co do położenia na szybie horyzontu lotniska i słyszę - DRG QNH 1017, cleared for take-off (zgoda na start)".

Już. Jak pięknie, jak spokojnie, naprawdę cudownie. Samolot wznosi się w górę ukazując to, co piękne i wszystko to, co cieszy serce, co zmusza do kochania naszego latania! A to co boli pozostało na ziemi. Tego nie zamieniłbym na nic innego, za żadne skarby! Teraz jeszcze muszę przejść na Radar 126,5.

Jak długo lot do stolicy Turcji pokrywał się z lotem do Thessaloniki nie protestowałem. Jednak w odpowiednim momencie zgłosiłem na Radar - Problemy techniczne usunięte i chcemy lecieć, zgodnie z planem na lotnisko zapasowe Thessaloniki – powiedziałem, zgodę otrzymałem natychmiast i tym sposobem chociaż raz udało mi się być górą!

Te wiadomość przekazałem natychmiast – Lecimy do Grecji a nie do Ankary!

W samolocie wybuch radości, wszyscy cieszą się z powrotu do

domu, po długim okresie tęsknoty. Na pokładzie mam jedną kobietę, załogę naszych holowników, w tym dwóch kapitanów żeglugi wielkiej i psa! Ta wataha, to nic innego, jak tylko włóczędzy świata pod flagą Kronschnabel & Co KG z Bremerhaven.

Widoki kazały zapomnieć o niemiłych chwilach na ziemi tureckiej. Delta Romeo Golf (powszechnie używana, skrócona forma – w tym wypadku znaki rejestracyjne mojego samolotu D-ICRG) leciał sam, ja ograniczałem się jedynie do zgłaszania Compulsory Point (kolejnego punktu meldowania). Z powietrza zgłosiłem plan lotu Thessaloniki – Bremen z zapasowym Hamburg. Przed lądowaniem w Thessaloniki odsłuchałem pogodę ATIS Golf, podał nam wiatr wschodni, więc lądowanie będzie na pasie 10. Pas startowy nie ma podejścia na ILS, jednak przy tej pogodzie, to żaden problem. Lądowanie z widzialnością lotniska i do tego podejście z nad zatoki. Super! Warto było obejrzeć z powietrza miasto leżące po naszej lewej stronie. Do tankowania wszyscy pasażerowie muszą opuścić samolot i każdy uczynił to z przyjemnością, by rozprostować kości przed ostatnim już w dniu dzisiejszym lądowaniem w Bremen. Zatankowanie maszyny oraz wszelkie inne formalności przebiegały bez jakichkolwiek trudności. Byliście przecież już w Europie!

Pogoda, zgodnie z tym, co otrzymałem w tutejszym Met Office –cavok (dobra pogoda), pod koniec trasy możliwe jej pogorszenie przez nadciągający front ciepły.

Trasa lotu przebiegała niemal równoległe do linii wybrzeża Adriatyku, tak więc nikt nie miał prawa do narzekań. Czas uciekał, a chowające się słońce przykuwało oczy pasażerów do okien, co dostarczało tylu niezapomnianych wrażeń. Ośnieżone Balkany. Głosy w części pasażerskiej stawały się coraz głośniejsze i tylko urywane zdania, które do mnie docierały, potwierdzały ten miły nastrój w miarę, jak ciemne odcienie

barw rysowały daleką ziemię. W roli drugiego pilota siedział obok mnie jeden z najlepszych operatorów naszych pływających dźwigów. Lecieliśmy prawie na północ i słońce po lewej stronie kończyło wędrówkę rzucając na nas nieopisaną orgię barw.

Pod nami były góry pokryte śniegiem i co pewien czas pojawiały się punkty świetlne. Rysowały one obrazy życia tych, co byli na ziemi. Potem zrobiło się zupełnie ciemno. Zapaliłem światła nawigacyjne i zwiększyłem ogrzewanie: Outside Air Temperature (temperatura powietrza)  $-20^{\circ}\text{C}$ !

Zainteresowanie mojego pomocnika skoncentrowało się na instrumentach oświetlonych przytłumionym światłem. Sylwetkę samolotu rysowały błyski Strobe Lights. Pytania skracaly czas lotu i tak przeminęły trzy godziny, a do domu już niedaleko. - Wojtek a powiedz jeszcze, co by było, gdyby teraz jeden silnik odmówił posłuszeństwa? - dopytywał mój "drugi pilot".

- Coś takiego nie może mieć miejsca - mówię - Ponad dziewięćdziesiąt procent wypadków lotniczych spowodowane jest przez błąd człowieka. Nasze silniki są naprawdę niezawodne. Posłuchaj jak ślicznie pracują i trzymają wszystkie parametry. Ale nawet, gdyby to miało miejsce, to przy aktualnym obciążeniu, a potem zmniejszonej prędkości decyzja byłaby tylko jedna: lądowanie na najbliższym lotnisku. Ale on dalej drążył temat - A gdyby i drugi nie pracował? - zapytał.

- To już sytuacja byłaby raczej nieprzyjemna, ale Cessna ma stosunkowo dużą doskonałość i czerpiąc ze swoich doświadczeń szybownika, mielibyśmy lądowanie na najbliższym lotnisku będącym w naszym zasięgu albo na dużej łące.

- I to jest bezpieczne? - pytał dalej - Zupełnie bezpieczne - uspokajałem.

Już szykował się do następnego pytania, ale poprosiłem go, aby poczekał, bo teraz przez chwile muszę na spokojnie pomyśleć. Niebo pokryte było gwiazdami przykrytymi Cirrusami, a daleko przed nami na horyzoncie rysowała się czarna ściana. Potężna czarna ściana, niemal od ziemi do gwiazd. Ciepły front na horyzoncie, którego nie oczekiwałem tak szybko i nie tak potężnego. Tak ogromnego jeszcze nie widziałem! Nie wiem dlaczego, ale nie chciałem się zanurzyć w jego niewiadomą. Nasza Cessna była zmrożona do minus 20°C a ciepły front, to rozszarpana, roztańczona ciepła masa. Jest niczym dziecięcy języczek przyciśnięty do zmrożonej szyby, trudno jest go oderwać! A potem boli. Podobnych sytuacji miałem podczas swojego latania bardzo wiele i często wlatywałem „zimnym” samolotem w tą ciepłą masę, właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wiec dlaczego teraz? Skąd te wątpliwości?

To potęga TEGO frontu ciepłego. Niedługo powinna pojawić się sylwetka Ljubljany przysypanej śniegiem i skrzącej tysiącem świateł. Doszedłem do wniosku, że nie będę ryzykował dalszego lotu, bo i po co. A czas mamy. Jest zupełnie ciemno.

- Idź do nich do tyłu i powiedz, że lądujemy w Ljublanie - poprosiłem pomocnika.

Nie oczekiwałem takiej reakcji! Niemal natychmiast powstała fala protestu, próśb, krzyków i błagań, przekonywania o konieczności kontynuowania lotu, która aż zakłósała samolotem! Mój wysłannik powrócił, usiadł, zapiął pasy i popatrzył na mnie bez słowa. Powszechna cisza była czekaniem na moją decyzję. Odwróciłem się do tyłu i zobaczyłem ich oczy utkwione we mnie. Oczy pełne nadziei, pełne wiary i siły wyrazu.

USTĄPIŁEM. Nie miałem sił, by się bronić i uzasadniać moje przypuszczenia, co do konieczności lądowania. - No dobrze,

lecimy dalej - powiedziałem, mój spokój wewnętrzny zniknął z każdą minutą, a jego miejsce zajął dziwny, niewytłumaczalny niepokój. Łykanie wrażeń lotu stało się czynnością, którą można wykonać, ale nie sprawiało już przyjemności. Z tych odkrywczych rozmyślań wyrwał mnie siedzący obok człowiek, który na co co dzień małym paluszkiem podnosi 6'000 ton i porusza nimi tak delikatnie, jak pilot śmigłowca drążkiem. - No a co będzie, jak wystąpi oblodzenie, tak jak się to często zdarza w naszej pracy? - pytał.

- Na taka ewentualność samolot też jest przygotowany. Na krawędziach natarcia, skrzydeł i stateczników są paski gumowe, które przy pomocy boost pump są nadmuchiwane i tym samym łamią osiadły lód, uwalniając samolot od jego ciężaru. Natomiast śmigła są ogrzewane elektrycznie – tym samym uspokoiłem też siebie.

Po zgłoszeniu kolejnego obowiązkowego Compulsory Point przechodzę na 127,95 Munich Radar (Monachium radar). Teraz mają mnie na ekranie, widzą kurs którym lecę i moją wysokość. Jestem bezpieczny, oni mnie prowadzą. Światła Ljubljany pozostawiliśmy z prawej strony już daleko za nami. Przed nami droga do domu prowadzi nad Alpami, a potem, już niemal w zasięgu ręki jest lotnisko w Bremen.

Oświetlona kabina czyni czarnym wszystko, co nas otacza. Błyski świateł samolotu przerywają na moment tę ciemność, ale z czasem przestaje się na nie reagować. Więcej uwagi poświęcam teraz przyrządom, które pewnie kontrolują moje poczynania. Wlecieliśmy w chmury. Piorunem błysnęły myśli, kiedy odczytałem temperaturę zewnętrzną - OAT: +4°C!!! Ta chmura, to pułapka, do której wepchnęła się kupa zmrożonego żelastwa! Bez mojego udziału moje mięśnie skurczyły się do wyczuwalnego bólu. Ale nic się nie zmieniło. Czekamy. Nic się nie dzieje. Nagle zaczął padać śnieg, na który już czekałem. Duże płaty mokrego śniegu oblepiały szybę Windshield Heat,

ON (ogrzewanie przedniej szyby) Zapaliłem też światła oświetlające lewe skrzydło, potem prawe skrzydło. Razem obserwowaliśmy śnieg przylepiający się do skrzydeł.

- Możesz ten śnieg zrzucić? - zapytał mój pomocnik

- Nie, jeszcze nie teraz. Jest go za mało. Musimy poczekać, aż będzie go więcej i będzie bardziej zmrożony, to wtedy.

Śnieg przykleja się wszędzie, a mokry śnieg jest ciężki.

- Śnieg już nie pada!” – pełnym głosem zameldował mój „drugi pilot”.

-To dobrze. Poczekamy trochę i spróbujemy pozbyć się części tego balastu.

Patrzę na skrzydło i zastanawiam się jak gruba jest ta biała pierzyna i tu nagle, jak na zawołanie, coś wycięło dziurę w śniegu. DESZCZ!

Najpierw tylko krople deszczu, a dosłownie za moment, jakby ktoś wiadrami wylewał wodę na szybę!

To koniec! Już nie ma dla nas ratunku. Do tej pory nie przeżyłem niczego podobnego! Potworna ulewa! Ta niesamowita sytuacja zawładnęła mną całkowicie. Niczym jej niewolnik wiedziałem, że walka to jedyna droga do życia. W takich momentach koncentracja działania jest tak ogromna, że nie pozostaje miejsca na nic innego, jak tylko na walkę. Do dyspozycji masz ułamki sekundy. Automatycznie odrzucasz zbędne czynności – rozpoczyna się ucieczka przed śmiercią.

Zdecydowanie pchnąłem dźwignie ładowania do przodu. Oba silniki dotychczas tak spokojne, zawyły pełną mocą, a czas jest ograniczony do pracy na pełnych obrotach. Teraz engine and prop de-ice (instalacja przeciwołodziennowa śmigła) „ON”, i jeszcze disengage (wyłączenie autopilota). Ale poruszenie wolantem okazało się niemożliwe! To bezpieczniki!- pomyślałem. Wychyłam się w prawą stronę i sięgam do nich

ręką. Żaden nie wyskoczył! Wiec to nie to. Ale w takim razie co? Wolant nadal zablokowany, czyli to lotki i ster wysokości muszą być unieruchomione i też ster kierunku nieruchomy. Samolot skuty lodem! To już koniec. Nie mamy wyjścia.

Samolotem zaczyna szarpać, cały się trzęsie, a prędkość maleje. To oblodzenie i jego ciężar!

Silniki rwą pełną mocą, ale ta bryła lodu jest dla nich zbyt ciężka. Z całych sił szarpie wolantem i nic. Do tego pedały też nie chcą ustąpić. To nie autopilot był winien, to lód, który pokrył nasz samolot i zablokował dosłownie wszystko, choć minęły dopiero sekundy! Prędkość spada, mogę ją tylko odczytywać. Nos samolotu unosi się w górę. Stall warning (sygnalizacja przeciągnięcia) na razie milczy. Zaraz oderwą się strugi powietrza i runiemy w czarna przepaść pod nami, a potem odczujemy uderzenie straconych marzeń! Zwalimy się na skrzydło i potem nosem w dół. Znam doskonale zachowanie samolotu w takich sytuacjach i wiem jak temu zapobiec, jednak wolant i pedały muszą mieć sprawne! Muszę je uwolnić teraz. Zerwać przeźrocyste kajdany!

Dziób znieruchomiał! Lewe skrzydło opada w dół!

...